

Wiktor Gomulicki.

Cudna Mieszczka

OBRAZEK WARSZAWSKI

z wieku XVII.

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.



WARSZAWA.

Drukarnia Artystyczna

Saturnina Sikorskiego.

47 Nowy-Świat, 47.



884-3



CUDNA MIESZCZKA.

Wiadomo, że mieszczaństwo dawnych miast ⁴ polskich rekrutowało się głównie z żywiołu cudzoziemskiego. W kraju rycersko-rolniczym nie kwapili się tubylcy do handlu, przemysłu i rękodziel.

I w złotej księdze starej Warszawy świecą prawdziwe nazwiska cudzoziemskie, głównie niemieckie. W aktach magistrackich spotykamy co krok Ginterów, Mejerów, Bucholców, Gissów, Wittów, Withoffów, Fuggerów (Fukierów), Sztyców, Kleinpoldów, Fiszerów, Szlichtyngów, Plumhoffów, Zajdlców (Seydlitz), Landsbergów, Mincerów, Knabów i Szulcendorfów. Spotykamy także włochoów (Zapio, Gianotti, Mokolini, Mariani), francuzów (Sakres, Chevalier), holendrów (Horlemes), ormian (Minasowicz, Augustynowicz) i szkotów (Czamer, Czorn, Lermunta).

Na tem barwnem tle różnych narodowości błyszczą tylko tu i owdzie nazwiska polskie: Barvczków.

Falkiewiczów, Szeligów, Długoszków, Drewnych, Mrozów, Wolskich, Łukaszewiczów, Rembowiczów, Wilków i in.

Wszystkie te obce pierwiastki zwały się dawno z ludnością miejscową, wytworzywszy całość zwartą, hartowną, odznaczającą się wielką siłą odporną.

Nasza beletrystyka historyczna, rozmiłowana głównie w przeszłości szlachty, zajmowała się dotąd bardzo mało obyczajami i zwyczajami dawnego mieszczaństwa polskiego.

Z pomiędzy pierwszorzędnych autorów współczesnych potrafi jedynie Wiktor Gomulicki od czasu do czasu o „Stare Miasto“, które kocha i zna, jak niewielu uczonych. I jego „Cudna Mieszczka“ jest poźółką kartką, wyrwaną z księgi dawnej Warszawy, odświeżoną tchnieniem niepospolitego talentu prawdziwego artysty.

Wiktor Gomulicki nie należy do pisarzy popularnych, w zwykłym rozumieniu. Jego dzieł nie rozchwytuje szeroka publiczność, bo nie tworzy on dla owych wielkich mas, które szukają w noweli i powieści tylko bajki, tylko wrażeń zdawkowych, grubych, drażniących niewybredne podniebienie ciekawości.

Rysem znamienym talentu Gomulickiego jest wykwinny artyzm tak w formie, jak w treści. Wy-

kształcony gruntownie po literacku, obdarzony w wysokim stopniu zmysłem estetycznym, stroni autor „Cudnej Mieszczki“ świadomie od wszelkiej pospolitości.

Jako technik artystyczny, celuje Gomulicki językiem tak czystym, jak krynica, nie zamacona żadną obcą przymieszką, i nadzwyczaj starannem wykonaniem. Wielki to mistrz formy, jubiler pomiędzy kowalami współczesnej noweli. Z pod jego srebrnego pióra wychodzi słowo polskie nie tylko przezroczyste, lecz także plastyczne, wyrzeźbione delikatnym dłutem.

Zdawałoby się, że pisarz tak wytworny, lubujący się w subtelnej, nie dla każdego oka dostępnej psychologii, w owych ukrytych rysach duszy ludzkiej, które wrażliwe, jak liść mimozy, zwijają się pod dotknięciem ręki grubej, nie da sobie rady z przedmiotem historycznym, wymagającym zawsze pewnej siły i szerszego rozmachu; ale „Cudna Mieszczka“ dowiodła, iż wykwinny nowelista umie także uderzyć, gdy chce, w ton jędrniejszy, a nawet gdy mu taka sytuacja wypada, potrafi być rubaszny.

Szerokimi rysami naszkicował Gomulicki postacie epizodyczne „Cudnej Mieszczki“, poświęciwszy więcej staranności tylko charakterom głównym, które

wycieniował, zwyczajem swoim, w najdrobniejszych szczegółach.

Jak żywa staje w „Cudnej Mieszczce“ dawna Warszawa (z XVII w.) przed oczami czytelnika, strojna w jaskrawe barwy owego czasu, pobrzękująca szablą, gwałtowna, skora do zwady i bójki.

Mazurowie naszy
Do jaglanej kaszy
Jak sobie podpija,
Wnet chłopą zabija
Hu — ha!...

Na tle bijatyk i pijatyk warszawskich mieszczan z XVII stulecia przewija się romans, nie tak sentymentalny, jak dzisiejsze, ale za to gorętszy, poświęcający dla miłości życie. Romans zabarwia koloryt historyczny, pochwycony doskonale i odtworzony znakomicie.

Teodor Jeske-Choiński.

I.

Serenada.

- Tędy, Fabio! tędy Luca!
— *Corpo di Bacco!* Omałom nie runął przez jakieś ciało parszywe, co wpoprzek drogi leżało!
— Pies pewnie...
— Kolnij nożem — przekonasz się. Jeśli pies — zawyje:
— Ciszej, kamraci. Ty, Luca, brzuch wciągnij, a ty, Fabio, trzymaj się murów i nie schodź na śródek. Księżyc zdradzić nas może.
— Rzuciłbyś do biesa tę komedię, przyjacielu Giano! To nie Wenecya!
— Więc cóż! Piękne niewiasty są wszędzie, a nad Wisłą więcej ich, niż nad lagunami.
— Mówisz jak półgłówkę. Dodaj, że Warszawa od Wenecyi piękniejsza, a będę cię miał za skończonego waryata.
— Nie kłóćcie się. Otośmy na rozstaju. Niech Giano gada teraz: w prawo, czy w lewo?
Zamilkli i w miejscu stanęli. Byli u wylotu ulicy Baryczkowskiej, wprost targu rybnego. Przed

nimi leżał placyk kwadratowy, przez pół biały ód księżyca, przez pół czarny od mroku. Z dwóch stron placyku stały kamienice; w głębi ciągnął się mur wysoki, zębaty, w równych odstępach basztami półokrągłymi najeżony.

Z trzech ludzi, rozmawiających po włosku, wysunął się najwyższy, któremu było na imię Giano. Wysunął się i jał niespokojnie patrzeć dokoła. Zawinięty był w płaszczyk lekki, z pod którego wyglądały nogi w femuralach barwistych. Na głowie miał berecik z piórem czerwonym. Z pod berecika wymykały się długie, czarne, na szyję spadające włosy.

Towarzysze byli również z włoska, choć mniej strojnie ubrani. Jeden gruby, beczkowaty, wyglądał jak tocząca się kula. Drugi zdawał się suchotnikiem.

Giano spojrział bystro w jedną i w drugą stronę, i cofnął się z pośpiechem pod wystający okap muru.

— Hę? — pytali tamci.

— Baczność — szepnął — ktoś nadchodzi.

Dunajem toczyło się dwóch kumów pod dobrą datą. Szewcy pewnie albo cieśle — w szarych kubrakach obydwu, z czapkami przekrzywionymi. Jeden patrzył w księżyc i podśpiewywał, niezbyt głośno zieszta:

Szarszan zardzewiał;
Z poszew opadały,
Kijec granowity,
Harkabuz nabity...

Drugi patrzył w ziemię i pluł na prawo i na lewo.

Gdy byli już blisko, weselszy z dwóch zaśpiewał głośnie:

Mazurowie naszy
Po jaglanej kaszy
Jak sobie podpiją,
Wnet chłopu zabiją...
Hu — ha!

Staął i w miejscu się okręcił.

Nagle wzrok jego padł na trójkę stojącą pod murem. Zajął go bardzo. Przyglądał się jej pilnie, oczy mrużąc i uśmiechając się; potem palec wysunął przed siebie i usta otworzył.

— Włoskie małpy! — krzyknął w głos i śmiechem wybuchnął głupim.

Ale drugi w tejże chwili dał mu w bok kulaka.

— Królewscy! — rzekł mu do samego ucha.

Uspokoilo go to odrazu. W jednej chwili spoważniał, przygarbił się, zmalął. Czapkę z głowy ściągnął i mówił:

— *Laudetur.*

— *In saecula...* — odrzekli włosi.

— Ja... — bąkał onieśmielony, kłaniając się, z odkrytą wciąż głową — ja panów włosków od serca miłuję... Panów szwedów takż... I panowie niemcy moi bracia... Powiedziano, miłuj bliźniego swego...

Towarzysz pociągnął go za rękaw, przerywając orację. Opierał się trochę, w końcu ustąpił. Odchodząc, jeszcze raz skłonił się pokornie.

— Wydostań brzuch, Luca — zawołał Giano wesoło. — Niebezpieczeństwo minęło.

Grubas wysunął się z po za skarpy, do której przylepiony był jak nietoperz.

— Oj Giano! Giano! — mówił płaczliwie — szukasz ty guza własnowolnie.

— Na swoją głowę i na naszą! — dodał płaczliwiej jeszcze Fabio.

— Tchórze! — wykrzyknął Giano. — Złękli się dwóch szewców pijanych.

— Ba! Mogła to być szlachta!...

— Albo pancerni!...

— Giano, pieszczoto wenecyanek! przyjaciel tobie mówi: wróć się!...

— Giano, słowiku z Lido! kamrat ciebie ostrzega: wróć się!...

Smukły włos głowę uniósł — oczy mu zapłonęły...

— Nigdy! — rzekł z mocą. — Ach! wy nie wiecie, jaka ona piękna. Róża przy niej jest pokrzywą, brylant krzemieniem, słońce świeczką lojową...

— Pi, pi, pi!... — zadziwił się Fabio.

— Kiedym ja po raz pierwszy ujrzał... tak! w śpiewie zgubiłem. Zdawało mi się, że to z ołtarza anioł zstąpił i siadł w ławce z książką do modlitwy. Od tego dnia nie sypiam. Kiedy wy wszyscy, winem nalani, w najlepsze chrapiecie, otwieram okno, na księżyc patrzę i wołam z głębi serca: — Barbaro! Barbaro!

— Ona nie dla ciebie... — mruknął Luca.

Giano rzucił się, jakby go sztyltem pchnięto. Oczy mu dziko błysnęły; usta wykrzywił kurecz; pod czarnym wąsem zabieliły się wyszczerzone zęby.

— Jeśli nie dla mnie — syknął — to i dla nikogo!

Towarzysze spojrzeli po sobie. Oczy ich mówiły: — Już z nim nikt nie poradzi...

— Idźmy! — odezwał się z rezygnacją grubas.

— Idźmy! — powtórzył, jak echo, suchotnik.

Giano uspokoił się, ale mu bladeść na twarzy została. Skinął na kamratów i poprowadził ich przez plac, po stronie cienia. Potykali się o wielkie, płaskie kadzie, poślizgiwali na wilgotnych i szlamem pokrytych kamieniach. Woń ryb zepsutych uderzała ich powonienie. Nad głową słyszeli łoskot suchych, poruszanych wiatrem stokfiszów, które wywieszono na znak ponad kramami.

Minawszy targ rybny, skrzyli w prawo. Giano prowadził ich teraz wązką przejściem wzdłuż muru. Pełno tu było gruzów; rosły też osty i inne zielska. Niebawem ujrzeni przed sobą potężny czworobok Bramy nowomiejskiej. Osadzony mnóstwem przystawek, daszków, wykuszów, wieżyczek małych i okratowanych okienek, wyglądał jak maczuga, krzemieniami nabijana.

— Kto idzie? — krzyknął pacholek, trzymający straż w bramie, i halabardą brzęknął o kamienie.

Ale zaraz, poznawszy „królewskich”, uspokoił się i w głąb cofnął. Na ławie kamiennej stał tam dzban niepróżny, a przy nim kilku wojaków w kości grało...

— Przeklęte włoszyska! — mruknął, spluwając. — Zawdy to ma po nocy robotę!

— Wiadomo! — odezwał się kompan od dzbanu. — Włoch i kot — czeladź czartowska!

Inni przeżegnali się z trwogą.

Giano z towarzyszami weszli na Krzywe-Koło. Posuwali się tu z ostrożnością wielką, bo ulica była widna, i cień wążuchny tylko paskiem ciągnął się wzdłuż kamienic. Co kilkadziesiąt kroków wymijać musieli kupy śmieci i nawozu. Środkiem ulicy, głucho pluszcząc, płynął ściek i na brudnej fali pozłotę niósł księżycową.

— O Wirgili! — szepnął Fabio ze smutnym uśmiechem, pokazując widok ten przyjacielowi.

A Luca przeniósł oczy ze ścieku na towarzysza i zauważył:

— Jest strumień i pasterz jest piękny z fletnią. Niech wyjdzie Amaryllis, a będzie ekloga...

Giano milczał — smutny i jakby martwy. Dopiero, gdy stanęli u wejścia na rynek, ożywił się. Wskazał kamienicę narożną, wąską a wysoką, i rzekł głosem drżącym:

— To tutaj...

Rynek, w oświetleniu pełni księżycowej, wyglądał fantastycznie. Jaskrawe światła i cienie grube klóciły się co krok ze sobą. Stojący na środku ratusz rzucał, kolumnę mroku tak wielką, że aż sięgała jasnych frontów kamienic. I były kamienice te podobne duchom czyśćcowym, które stopami wrosły w otchłań, ale na czołach mają już zorzy niebiańskiej jutrzeńkę.

Tu i owdzie znać jeszcze było ślady strasznego pożaru z przed lat pięciu. Na ogół jednak domy były piękne i strojne. W świetle księżycy pławiły się liczne figury kamienne, białe i barwione, stojące na

gzemsach, wychylające się z wnek i zdobiące narożniki. Na belwederkach, obyczajem włoskim, stały kwiaty. Wiele kamienic miało fronty malowane w różne kolory; na niektórych połyskiwało złocenie. Gdzieś, mimo noc jasną, palila się lampka przed wmurowanym w ścianę obrazem.

Nad wszystkim górowała smukła wieżycza Ratusza — niby maszt kamiennego korabia, który senna cisza fal na miejscu osadziła.

Spało miasto; spali ludzie. Nie świeciło się ani w jednym oknie. Cisza była taka, że można było słyszeć skrzypienie blaszanej syreny, wykręcającej się na szczycie ratusza, oraz miarowe stapanie surmacza, który chodził w kółko po galeryjce wieżowej, wypatrując ognia i otrębując godziny.

Trójka włochów wcisnęła się w wązki, spadzisty przesmyk, wiodący ku Białej wieży. Dzikie to było miejsce i szpetne. Mrok gęsty zalewał je, niby dno wąwozu. Postacie jakieś, nadejściem obcych spłoszone, poruszyły się i chyłkiem jęły uciekać. Nie wiadomo: zwierzęta, czy ludzie...

Giano znał dobrze miejscowość. Postąpił śmiało kroków kilkanaście. Potem stanął, odwrócił się i w górę spojrział.

Uśmiech przemknął mu po twarzy. Chwycił Fabia za rękę i rzekł:

— Patrz...

Wznosiła się przed nimi ściana wysoka, pełna okien i ganków, i od ziemi do szczytu blaskiem księżycowym zalana. Był to tył kamienicy narożnej. Na

wysokości drugiego piętra znajdował się tam belweder, ku Wiśle obrócony. Na belwederku stały wielkie donice z kwiatami; stało też kilka stolików niskich, skórą pokrytych. Przez szklane drzwi, wychodzące na ten taras maleńki, widać było światło.

— Nie śpi... — szepnął Giano ze wzruszeniem rozkosznym. Rękę jedną na sercu położył; palcami drugiej pocałunek w stronę okna oświetlonego posłał.

— *Ave!* — zawołał głosem miłości pełnym.

Zaraz potem towarzyszący miejsca jął wyznaczać. Fabia ustawił po jednej stronie zaulka, Lukę po drugiej. Sam stanął pośrodku, nieco naprzód się wysunawszy.

Na dany znak, wszyscy trzej odrzucili płaszcze.

Grubas dzierżył lutnię o długiej szyi, która mu aż ponad ramię wystawała. Cienkosz do ust podnosił fletnię wysmukłą. Giano trzymał w ręku niedużą mandolinę, na wstędze różowej przez ramię przewieszoną.

Przez chwilę stali w miejscach, nie poruszając się. Potem odrazu w instrumenta swe uderzyli.

Słodką przegrywka przez powietrze błękitne ku gwiazdom uleciała. Miękki głos fletu, z pieszczonemi dźwiękami lutni i z perłowym strun mandolinowych szmerem, złożyły się na jedno przeciągłe, lękliwe westchnienie, które mówiło:

— Kocham — och! — kocham...

W górze drzwi brzękły. Dwie postacie niewieście wyszły nieśmiało na belweder i wśród kwiatów przysiadły. W księżycowej jasności na chwilę

tylko błysnęły, gdyż zazdrosna gąszcz liści zaraz je zakryła.

Wówczas Giano zaczął śpiewać. Głos miał tenorowy, aksamitny — jeden z tych głosów, które na kobiety jak narkotyk działają. Ciche akordy mandoliny biegły za pieśnią jego niby rój pszczoł o złotych skrzydełkach.

Giano śpiewał:

Chi può mirarvi
E non lodarvi,
Fonti del mio martiro,
Begli occhi chiari,
A me più cari
Che gli occhi ond'io vi miro!

Księżyc oświetlał go z boku, podnosząc świętność stroju, uwydatniając postać smukłą, gibką, węzową. Był piękny. Noc, pieśń, samotność otaczały go urokiem. Budził miłość i uosabiał ją.

Księżyc błyszczał coraz ognistiej, śpiew wzbiął coraz większą namiętnością, kwiaty na belwederku coraz silniej drżały.

Nagle



II.

Ostatnia kropla.

- A ja ci rzekę: pij!
- A ja ci rzekę: w spokoju mię zostaw!
- Frasunek w kielichu utopisz...
- Oliwa na wierzch wypłynie...
- Wolisz truć się?
- Wolę...
- Mości Hała-Dralla! sam-tu!

Z po za wielkiej beczki wylazł człowiek zaspany. Oczy przetarł, przeciągnął się, zapytanie niewyraźne mruknął. Wyglądał dziwacznie i zagadkowo. Miał na sobie kaftan zielony, stary i zaplamiony, ze śladami złocistego wyszywania. Głowę owiżywał szmatą brudną, podobną razem do zawoju, do feza i do zwykłej babskiej chustki.

Był to imć-pan Agła-Abłanowicz, zowiący siebie ormianinem, właściciel lochu z winami pod Ratuszem. Na jego śniadej twarzy o wielkim, do dzioba kruczego podobnym nosie i o czarnych podłużnych oczach, malowało się wyraźnie wschodnie pochodzenie. Malowało się też i chytróści niemało.

— Tokaju? — zapytał, wyciągając rękę po dzban, między dwoma biesiadnikami stojący.

— Waścin Tokaj z morawskiej lury fabrykowany! — rzekł drwiąco starszy z dwóch.

Zuchem on się zdawał, na ławie buńczucznie się rozpierał i pięścią w stół uderzał nieustannie. Wąs miał zadarty do góry, bródkę ze szwedzką przystrzyżoną, na głowie czapkę, lisiem futerkiem oszytą.

Na przedzie czapki futerko tworzyło czub zadzierzysty, podnoszący jeszcze bardziej zawadyacki wygląd młodzieńca.

— Kalumnie waszmość gadasz — odburknął ormianin. — Toż do mnie szmekierowie przychodzą, win próbują...

— Czerwierce biorą... — dodał tamten przeдрzeżniając.

Ormianin ramionami wzruszył i z dzbanem do odejścia się zabierał. Młodzieniec zatrzymał go.

— *Varietas dilectat* — rzekł. Utocz nam petyercymentu, mości Hała-Dralla.

— Sługa waszmości.

— Ale strzeż się, by to nie był sok zaprawiony! Kata-bym sprowadził, żeby beczkę pod pręgiem rozbił. Jakem Szczerb, mości winiarzu, jakem Szczerb!

Agła przyniósł gąsiorek z winem hiszpańskim, pieprzykowatym. Sam nalał w kubki, językiem mlaśniał, oczy przymrużył...

— Takiego włochy nie piją — rzekł z uśmiechem zagadkowym.

Młodszy biesiadnik na wspomnienie włochoń ocknął się z zamyślenia. Za jasną bródkę szarpnął się, wzrokiem dokoła potoczył i na gospodarzu go zatrzymał...

— Coście o włochach mówili? — zapytał.

— Mówiłem, że wloch do wina, jak panna do szabli. Aby słodkie — o resztę nie pyta. *Dolce... dolce...* jak sroka piszczy i jeszcze wodę dolewa. Obrzydliwość! Wczoraj byli u mnie dworscy...

Młodzian z jasną bródką drgnął.

— I cóż? — spytał, oczyma mówiącego świdrując.

— Pili mało wiele, ale siła się nakrzyczeli. Wreszcie ten ich gaszek wycackany, co nań Dziano wołają, rzecze: „Panie Abłanowicz, podstaw waść dla mnie beczkę małmazji co najprzedniejszej, bym miał co pić na swem weselu!” — „Sinior się żeni?” — pytam. Aż on w śmiech i wznosi pełną: „Za pomyślność jejmościanki panny Barbary!, za pomyślność mojej donny teraz, a da Bóg i na zawsze!”

Ława dębowa zatrzeszczała i na posadzkę runęła z łoskotem. Jasnowłosey młodzian przewrócił ją, z miejsca się zrywając. Twarz mu krwią nabiegła, oczy złowrogo zabłyśły. Do ormianina przyskoczył, za ramię go porwał, pięść zaciśniętą pod oczy mu wetknął...

— Łziesz waść! — głosem wrzasnął ochrypłym.

Agła uciekł za beczkę...

— Jur! — zawołał biesiadnik w lisiej czapce — podobasz mi się. Na pohybel włochom!

Stuknął kubkiem o jego kubek, aż się na stół

nieco wina wylało. Tamten nie wzdragął się teraz; wypił wino duszkiem, jak wodę. Kubki powtórnie zostały napelnione i powtórnie je opróżniono.

— Na pohybel Dzianowi!

Jeszcze raz wypili.

Ale się Jur opamiętał. Kubek przewrócił, usiadł, o stół wsparł się łokciami. Temperament melancholijny wziął w nim górę nad chwilowym wybuchem. Patrzył bezmyślnie na rozlane wino i milczał.

— Ocknijże się! — zawołał starszy. — Grajkom nie damy się ograć. Jakem Szczerb!

— Wyżniki mają w ręku...

— To i cóż! Daleko im do kozernego króla!

— Kto wie...

Głowę niżej zwiesił, ramiona podniósł w górę.

— Myszkowski z nimi — ciągnął smętnie — Bola z nimi... Pono już i do Mejerin trafili...

— Dziewki nie przekabacą!

— Kto wie...

— Ojca masz za sobą!

— Stary Szeliga daleko... Na morzach kędyś burzliwych — na oceanie... Bóg wie, kiedy powróci!

— Słowo ci dał...

— *Verba volant...*

— A ciotka?

— Właśnież to najgorsze: ciotka mi krzywa!

— O co?

— Bóg raczy wiedzieć. O herezyę mię posadzają — żem to przeciw straceniu Tyszkowicza gadał. Jezuitów w tem wietrze...

— Uuuuu! — zaśpiewał przeciągle tamten, skrzywiwszy się, jakby co zgryzł gorzkiego.

Zamilkli na chwilę obydwu. Gospodarz poruszył się za beczką, kluczami brzękając. Po północy było; godzina zamknięcia, artykułami marszałkowskimi wskazana, oddawna minęła. Już też w lampce, pod sklepieniem łukowem zawieszanej, oliwy braknąć poczynąło. Knot dogasający skwierczał; cienie fantastyczne, kanciaste, drgające, pełzały po murach i beczkach, kładły się na stołach, stołkach i zakłęsłej, ceglanej posadzce...

Starszy poruszył się i do gąsiorka zajrzał.

— Jur! — zawołał, trącając towarzysza. — Jeszcze kropla tu jest — ostatnia...

— Do biesa z nią! Spać chodźmy.

Wstał i wyprostował się. Pleczysty był i w sobie zwięzły, musiał mieć siłę dużą. Sięgnął po kołpaczek z piórkiem i na głowie go osadził. Z kolei, jął szukać czekana. Szybkie ruchy i twarz rozczzerwieniona świadczyły, że już mu wino poczyną sięgać głowy.

— Ostatnia, mówię, kropla... — wyrzekł z naciśkiem starszy.

— Spać, mówię, chodźmy! — powtórzył Jur, również z naciskiem.

Tamten podniósł się z ławy ociężale, czapkę li się na bok przekrzywił i żupanik jął zapinać. Chmurny był. Przywołanemu Agłe rzucił pieniądz złoty z takim impetem, że moneta ze stołu spadła i między beczki się potoczyła.

— Słysz, Jurach! — jął mówić zwolna i obojętnie, sprzączkę u paska ściągając. — Pić nie chcesz; do gadania-ś nie skory; spać chodzisz z kurami... Wiesz, co ci rzekę: zostań księdzem, a Basię odstąp Działowi.

Jur pobladł.

— *Ad primum* — rzekł, z trudnością się hamując — wysącz-no z flaszki oną kroplę...

W jednej chwili kubki zostały napełnione. Wystarczyło petercymentu na obydwu.

Jur wychylił wino duszkiem i kubek o podłogę cisnął.

— Ostatnia kropla! — zaśmiał się szydlerczo.

I zaraz, jakby z tą kroplą miara jego spokoju przebrała się, wpadł w furję.

— *Ad secundum!*.. — krzyknął, czekan w nabrzmiałej ręce ściskając — *ad...se...cundum!*.. wara z takimi słowami! Druh nie druh, a łba całego nie uniesie!

I okutym kijem puścił młyńca, aż w powietrzu zagwizdało. Agła przybiegł wystraszony, ze sztabą żelazną w ręku, którą drzwi miał zakładać. Z żelazem tem stanął po stronie Szczerba, widząc, że mu niebezpieczeństwo grozi.

Ale junak z lisim czubem odepchnął ormianina. Zaśmiał się wesoło, ramiona szeroko rozłożył i wrzasnął:

— Jur! serce moje! a daj-że gęby!

W tamtym petercyment działał. Nasrożył się i nie wiedział co począć. Nagle jednak z buńczuczności stał się rzewny. Głowę pochylił, rękawem łzę otarł...

Uściskali się, ujęli pod ręce i poczęli z trudno-
ścią dźwigać się w górę po stromych i oślizgłych
schodach.

— W samo-ś serce mię kołnął... — skarżył się Jur.

— Boś nie po kawalersku zasypiał....

— Nawet gdy śpię, przekłętніка mam przed
oczyma...

— Na pohybel mu!

— *Pereat!*

Agła uchylił ciężko okute drzwi i najpierw sam
wyjrzał, czy niema kogo w pobliżu. Potem wymruczał
niezrozumiałe pożegnanie i młodzieńców wypuścił.

Gdy wyszli, uderzyła ich wielka jasność księ-
życa i owiało świeże powietrze nocy. Jur zatoczył się.

— Do biesa! — rzekł. — Zdało mi się, że kamie-
nica wójtowska na mnie pada...

Towarzysz wsparł go ramieniem i przekrzywio-
ny kołpaczek poprawił mu na głowie.

A gdy stali, nie wiedząc, w którą stronę kroki
obrócić, dobiegły ich nagle słodkie dźwięki serenady.

III.

Nie zawsze powraca się nocą tam, z kąd się rankiem wyszło.

Giano, po krótkiej przerwie, w której powietrze
zdało się napępiać przeciągłym szmerem zachwyty,
nową rozpoczął zwrotkę:

Dite, rose preziose,

Amorose,

Dite...

Nie skończył...

Straszne przekleństwo zahuczało mu nad głową,
a potężne uderzenie czekana rozbiło mandolinę w drza-
zgi. Zanim zaś jeszcze ochłonął z przestachu, już
żelazna głowica czekana raz i drugi zaświstała w po-
wietrzu tuż nad jego uchem.

— *A l'assassino!* — krzyknął — i ze zwinnością
lamparta na bok uskoczył.

Dla nacierającego było to fatalne. W szalonym
rozmachu, nie znalazłszy oparcia, stracił równowagę
i omal nie runął.

Pochylił się jednak tylko i przyklęknął na je-
dno kolano, czekan z rąk wypuszczając. A w tejsze

chwili przed samemi oczyma mignęło mu błyskawicą ostrze sztyleta...

— A! — krzyknął i powieki same mu się przymknęły, a ręka ruch ochronny wykonała.

Błyskawica jednak nie spadła. Zamiast na dół lecieć, cofnęła się nagle w górę. Ognistą a drżącą linię zakreśliła w powietrzu i na kształt racy gasnącej, zniknęła w kierunku przeciwnym.

— Dyable syny! — rozległ się głos gniewny razem i szyderczy. — Wprzód graliście, teraz tańczcie!

Jednocześnie wynurzył się z mroku Szczerb. Lewą ręką przewalał on na wznak Giana, ciągnąc go z tyłu za kołnierz; prawą dusił za gardło napół nieprzytomnego Łukę, któremu oczy na wierzch już wychodziły.

A musiał mieć w rękach moc niezmierną, bo twarz jego uśmiechnięta i zadowolniona wysiłku najmniejszego nie zdradzała.

Zaraz też porwał się z ziemi Jurach, czekany upuszczony podjął i z pomocą biegł przyjacielowi.

Zanim jednak dobiegł, stała się rzecz niepojęta.

Roześmiana twarz Szczerbe wykrzywiła się nagle kurczem strasznym, ręce obezwładnione wypuściły wrogów, a z ust wybiegł jęk bolesny... Młodzieniec przegiął się całym ciałem w tył, potem sztywno wyprostował się i okropnie zakławszy, z odczepionym od pasa czekaniem rzucił się po za siebie w uliczkę.

W mroku, naksztalt gada, pełznął tam Fabio, z okrwawionym sztyletem w dłoni...

Doskoczył do niego, za ramiona porwał i na nogi postawił...

— Zbóju! — wrzasnął — nie warteś lepszej broni!

I przerzucając czekany do lewej ręki, prawą, w pięść ściśniętą, wymierzył mu potężny cios między oczy.

Włoch krwią się zalał i na miejscu okręcił. Potem sztylet podniósł w górę i wywijając nim wściekle, rzucił się na oślep na przeciwnika.

— Jezus, Marya, Józef! — rozległ się w tej chwili w górze krzyk niewieści. Brzęknęły drzwi gwałtownie zamykane i dwie białe postacie, jak dwa ptaki, z belwederku pierzchnęły.

Wszystko to nie trwało dwóch minut.

I dopiero teraz rozpoczęła się walka właściwa, obustronna.

Zaulek zawrzał krzykami dzikimi, furja już bowiem opanowała jednych i drugich. Włosi walczyli po tygrysiemu, skacząc i odskakując; nasi, jeśli nie szli naprzód, stali twardo w miejscu. Ale wino ich mroczyło i większa część ciosów ginęła w próżni. Tamci natomiast, wysuwając noże naksztalt żądł, nieraz niemi to Juracha, to Szczerbe po bokach kąsnęli. Krew jednak płynęła i po ich stronie. Jur dojechał raz Gianowi od serca i gdyby żelazo nie oślizgnęło się po aksamitnym berecie, jużby może było po Włochu. Ale i tak lewe ramię opadło mu bezwładnie i do ziemi przysiąść musiał z bólu. Szczerb zalał się z dwoma tamtymi. Rozdzielając ciosy między obojgu, podśpiewywał i drwił.

Głowicą grzmocił Luke, a Fabia tylko drzewcem okładał.

— Na psa szkoda żelaza! — powtarzał, szydząc.
Do Luki zaś mówił:

— Poć się, brzuchalu, sadła się pozbędziesz...
Albo pokpiwał:

— Knot przez ciebie, przeciągnę, lampę będę miał wieczną...

Gdy go zaś ów w żywe ciało kolnął, przeklinał:

— A ropucho! A tworze z kości wieprzowych!
A pokrako, na obrazę i niepodobieństwo boskie stworzona!

Krew ciekła tu i tam. Z pstrej odzieży włoskiej strzępy latały po powietrzu. Po narzędziach muzycznych, rozbitych i stratowanych, deptali stopami walczący.

Szczerb poczuł raptem, że słabnie. Aby nie dać się wziąć z tyłu, pod parkan się cofnął i plecyma wsparł się silnie o deski. Tamtych to rozzuchwalilo. Docierać doń jęli coraz bliżej, jak ogary do ranionego odyńca...

Nagle u wejścia do uliczki zagrzemiał głos tubalny:

— W imieniu Jego Miłości Marszałka Wielkiego koronnego!

Walczący ani spojrzeli w tę stronę.

Głos zahuczał bliżej.

— W imieniu Jego Miłości... w hareszt biorę waszmościów!

I to ich nie poruszyło.

Wówczas rozległa się komenda:

— Węgry marszałkowskie naprzód!... Milicya we środek!... Oszczepnicy na boki!... Rozbroić rebeliantów!

Ku walczącym pogarnęła się gromada ludzi, cudacznie wyglądających. Jedni nieśli muszkiety, inni wystawiali przed się klucie, tamci machali oszczepami, a owi podnosili w górę dardy. Szli bez ładu i składu, przepychając się, wadząc i mimo srogiego uzbrojenia, tchórzac widocznie. Istne wojsko Heroda z jaselek. Część miała kierezye białe i niebieskie, sznurkami wyszywane i zapinane na haftki; część, krócej odziana, zadziwiała pstrokaczną barwą, wśród których czerwona z zieloną najczęściej były pomieszan.

W krótkiej chwili czereda zapchała uliczkę.

Dopiero to koniec położyło zapasom.

Rozbrojenie poszło bez trudności — z tej choćby racji, że zapaśnicy w tłoku niezmiernym ani ręką, ani nogą poruszać nie mogli. Było to nie ugaszenie pożaru, ale raczej przyduszenie go. Wory piasku, rzucane na płomień, ten sam skutek wywołują.

Jur, którego energia już się wyczerpała, bez oporu dawał powodować sobą. Włosi natomiast miotali się i klęli, dowodząc, że straż gwałtu się na ich osobach dopuszcza.

— My cudzoziemcy! — krzyczał Giano, latając rodzinną włoszczyzną łaciną. — My królewscy! Nad

nami tylko signor Myszkowski... My tylko signora Myszkowskiego znamy i słuchamy!...

— *Benissime!* — uspokajał go dowódzca, człek brzuchaty, z potężnym nosem i brodą Ajaksa, obwieszony dokoła żelaztewem, jak mur zbrojowni albo wystawa mieczownika. Właśnie-ż my nie co innego, jeno sługi marszałkowskie...

Po małej chwili zapaśnicy byli już rozbrojeni i wzięci pomiędzy halabardy, piki i muszkiety. Ale dowódzcę spotkała niespodzianka. Zarzucił sieci na pięciu, a złowił w nie — trzech. Dwaj przepadli bez śladu...

Na dany rozkaz, straż zapaliła pochodnie. Jaskrawe, czerwone światło rozlało się po zaułku. Wyrzuciły się z cienia wszystkie spadzistości i załamy. Po prawej stronie zarysował się parkan z kilkorgiem wychylonych wierzchem drzewek; po lewej kawał muru szczerbatego i jakiś budynek nietynkowany, z wybitymi oknami. W głębi, krwawy odblask padł na Białą wieżę, wąską a wysoką, która była zarazem bramą miejską i basztą obronną. W okienkach jej drobnych i we wrotach, kratą przejrzystą zasłoniętych, czerwieniły się twarze i połyskiwała broń zwabionych hałasem strażników.

Przetrażniono cały zaułek — zbiegów nigdzie ani śladu. Zapadli się w ziemię, w dym rozplynęli, z iskrami pochodni ulecieli i zgaśli...

— Czartowska sztuka! — szeptano w tłumie.

Ten i ów znak krzyża zrobił na piersiach. Nawet dowódzca usta szeroko otworzył i przez długi czas zamknąć ich nie mógł.

— Ha! — westchnął wreszcie, nie wychodząc z zadumy. — I to się zdarza. Przez dwie doby nie jeść, w żywym źródle się wykapać, psalm pewny siedem razy odmówić i oczy mocno zawrzeć... Uczył mnie tego rabin jeden...

Ale ocknął się nagle i za nos długi pociągnął.

— Tfy! co też ja gadam! Święty Krzyżtoforze, patronie mój, zmiłuj się nademną! Jutro krzyżem będę leżał, tak mi Boże dopomóż. A teraz: węgry! milicya! pacholki! sformować się i w drogę!

Czereda wysypała się z zaułka, uprowadzając z sobą Juracha, Giana i Lukę.

Ręk jej uszli: Szerzb i Fabio.

Oddział miał przed sobą krótką drogę, bo tylko przez jedno z ramion Krzywego-Koła. Mimo to nie przeszedł niepostrzeżony. Wrzawa nocna zrobiła swoje: wiele okien było otwartych, tu i owdzie kupiły się gromadki mieszczan, do połowy tylko odzianych. Pytano, czyniono uwagi, pokrzykiwano.

A najpierw powitała więźniów owa para szewców, czy cieśli, włócząca się przed godziną po Dunaju.

— Do Jazdowa z nimi! do zwierzyńca — szydził weselszy, palcem wytykając włochów. — Król Jegomość będzie miał zabawkę...

Tym razem nie ustępował mu i towarzyszy.

— Włoska zaraza! — wykrzykiwał — truciście! zbójniki! Do „kuny“ ich zamknąć, ludowi na pastwę oddać. — Niech im przekupki zgniłemi jajami trefione lby maszczą!

— Wysmagać te ulizane prosięta!

— Potopić!

Niechęć udzieliła się i innym.

— Precz z włosami! — zawołał ktoś w tłumie. — Struli nam jednego pana, dybią na drugiego.

— Za Radziwiłównę im zapłacić.

— Za Zygmunta!

— Za ostatnich Mazowieckich!

Tłum gęstniał — szemranie wzrastało — krzyki padały jak bomby...

— Niech szcześnie włoskie plemię!

— Niemieckie też!

— I szwedów nam nie trzeba!

— Precz z Bobolą!

— I z panną Orszulą!

— I z Myszkowskim!

— *Silentium!* — zagrzemiał dowódzca straży. — *Crimen lesae Mareschali!* Węgry, milicya! oszczepnicy!... przyspieszyć kroku!

Przez okna otwarte wychylali się otyli mieszczanie. Ci, nie wiedząc o co chodzi, dopatrywali się winy w naturalnym swym wrogu: szlachcie.

— Podobno wojewodzińscy spichrz miejski napadli — opowiadał sąsiad sąsiadowi — szlachetnego patrycyusza zakłuli, dziewczkę uczciwą porwali, dwóch pacholków zastrzelili...

— Nauczyć ptaszków moreсу! Sąd „gorący“ nad nimi sprawić! Na gardle pokarać!

— Dość już tej hańby! Mamyż czekać aż na smyczę nas wezmą?

— Bodajby im kat żelazem herby powypalał!

— Nocy niema jednej, żeby bałuch przez nich nie wynikł...

— Nie dość im, że frymarczą kryjomo, cel nie płacą, na szkodę kupiectwa działają...

— Albo te ich jurydyki! — Rządy w rządzie, miasta w mieście — urągowisko prawu i obyczajowi!

— Uprzywilejowani!

— Ciemieżcy!

— Oligarchowie!

W miarę, jak oddział się zapuszczał, głosy uspakajały się i cichły.

— Pogoda będzie jutro... — ozwał się ktoś, ziewając.

— Na Piekielko pójdziemy — czarownicę oglądać na stosie...

— Ja do Fary — ksiądz Skarga dosalać ma senatorom...

— Daj mu Bóg zdrowie. Dobranoc, kumie Macieju.

— Śpijcie z Bogiem, kmotrze Stanisławie.

Okna zamknięto.

Tymczasem, straszny z pozoru pachol, z rohatyną zębata w rękę, wiodący Jura „pod hareszt“, nachylił się doń i mówił płacziwie:

— Matula dobrodziejka srodze się zmartwi... oj!

— Znasz matkę? — zapytał tamtem zdziwiony.

— Co nie mam znać. Tociem wychowanek nieboszczyka Zawislaka, tatula waszego. Panisko mnie nie poznał? Frącek Chrzan jestem.

— Zmieniło cię przebranie. Ale to i lepiej, żeś miejski.

— To się wie. Klucznik mój krewniak — grodu panisko nie dozna...

— Bóg ci zapłać, Frącku.

— A u matuli jutro będę...

— Bądź. Ale prawdy jej nie mów. Powiedz, że mnie magnat jeden wywiózł — robotę dał pilną...

— Stać! — rozległ się w tej chwili grzmiący głos dowódcy.

Frącek minę groźną przybrał i rochatyną wojowniczo potrząsnął. Straż, wlokąca się krętym i ciemnym zaułkiem, zatrzymała się w miejscu.

Więźniów wprowadzono do Wieży Marszałkowskiej.

Nie była zaś wówczas Wieża Marszałkowska niczem innem, jeno Wieżą Okrągłą, na załamie muru obronnego od strony Wisły stojącą.

IV.

B a s i a.

Imiępan Balcer *alias* Baltazar Szeliga od półroczu już przeszło po za domem przebywał. Trzymały go w cudzych krajach sprawy handlu, który przez lat trzydzieści z pożytkiem dla siebie i miasta swego prowadził.

Szeliga był to mąż „uczciwy, okazały i rozgłośny“ (*honestus, spectabilis, famatus*). Obyczajem ówczesnym pisał się *Sheliga* albo *Scheliga*. Handel odziedziczył po ojcu, dzielił go zaś z bratem Janem. Ten ostatni, że był zdrowia słabego, więcej ksiąg się pilnował, niż łokcia. Do trzech epitetów wymienionych dodało mu to jeszcze czwarty: *illustris*.

Balcerowi temperament i peregrynacye częste nie pozwalały urzędów magistrackich sprawiać. Natomiast Jan oddał się im niepodzielnie. W r. 1607 widzimy go w Kole ławniczym, za burmistrzostwa Mikołaja Majerana, a podskarbiostwa Stanisława Baryczki. W 1617 jest już rajcą i szafarzem. We dwa lata później osiąga godność najwyższą, objętość go bowiem „prokonsulem“, czyli burmistrzem.

Szeligowie kupczyli błatawami. Pod krótkim tem określeniem rozumieć trzeba sferę niezmiernie

rozległą. Należało do niej wszystko, co w wieku owym mianem „kupi tkanej“ oznaczano. A także wszelkie rodzaje sukien i płótna przeróżne.

Mieli oni kram najpokaźniejszy w Ratuszu; mieli drugi przy ulicy Grodzkiej. Składy ich wielkie i zawsze pełne, mieściły się w kamienicy Balcera w Rynku. Liczono Szeligów do mieszczan najzamożniejszych, do patrycyatu starej Warszawy.

Prócz dwóch braci, była jeszcze siostra. Od obu starsza i już niemal sędziwa, w panieństwie pobożnego żywota dokończała. Eufemia było jej na imię; Ofką ją nazywano.

„Ciocia Ofka,“ choć z pozoru praktykom religijnym całkowicie oddana, a przytem przez pół ciemna i jak wianek zeszłoroczny wyschnięta, miała jednak głowę w rodzinie najtęższą. Miała też podobno i największe kapitały. Wogóle głos jej w rodzinnym trybunale Szeligów ważył najwięcej.

Jan był bezzennikiem, Balcer zaś wcześniej owdowiał. Ofka mieszkała przy ostatnim, matkując jedynaczce jego Basi.

W domu wdowca zwyczajnie panowały patryarchalne. Z cnót potocznych najbujniej w nim kwitły: pobożność i pracowitość. O tej ostatniej powiedziebby można, że była niemiecka. Co prawda, nie to jedno tylko niemieckością tam trąciło — ale czyż mogło być inaczej?...

Szeligowie drzew genealogicznych nie rysowali, rodzinne zaś ich tradycje nie sięgały dalej nad cztery do pięciu pokoleń. Znaczy to niewiele więcej nad jedno stulecie. A tymczasem, któż wie, czy po gałęziach rodowych na dół się opuszczając, nie znalaz-

złoby się korzenia twiącego w ziemi — nie-mazowieckiej...

O przypadek ten zresztą nie było podówczas trudno. Zdarzyć on się mógł większości rodów mieszczańskich. Zkądże-bo one wyrosły, jeśli nie z płoniek obcych, głównie i przedewszystkiem niemieckich?

Jak do niedawna jeszcze kupiec i żyd, tak przy narodzinach mieszczaństwa naszego kupiec i Niemiec nazczyli jedno. A w miejscu tem znów wraca pytanie: czyż mogło być inaczej?

Tak jest, czyż mogło być inaczej tam, gdzie w narodzie widziano dwa tylko rodzaje ludzi: rycerza i kmiecia? Ścisłej mówiąc, człowieka widziano tylko w rycerzu, czyli szlachcicu. Kmiec był dla rycerza tłem, podścieliskiem, oprawą. Znoszono go, boć i najpiękniejszy kwiat nie obejdzie się bez nawozu.

Na mieszczanina poprostu miejsca nie było. Przyszedł on z Niemiec i był Niemcem. I nie tylko był, ale być musiał. Przed swoimi prawną postawiono tu zagrodę.

Cóż za dziw przeto, że w złotej księdze mieszczaństwa starej Warszawy tak gęsto błyszczą nazwiska niemieckie! Cóż za dziw, że się tam co krok spotyka: Ginterów, Mejerów, Bucholców, Gissów, Wittów, Withoffów, Fuggerów, Sztyców, Kleinpoldów, Fiszerów, Szlichtyngów, Plumhoffów, Zajdlców, Landsbergów, Mincerów, Knabów i Szulcendorfów!

Mieszczaństwo nasze to splaw wielu metali. Splaw ścisły i do rozbioru trudny. Metale owe do jednego tygla rzucone wrą, pryskają i skwierczą, ale gdy już ostygły, jednolita powstaje z nich masa.

Nie na Niemcach bowiem domieszki się kończą. Przerzucamy kronikę starej Warszawy z XVI-go i XVII-go stulecia i wychylają się z niej do nas ludzie wszelakiej narodowości. Są tam włosi: Zappio, Bandineli, Gianotti, Mokolini, Mariani; są francuzi: Szerzant (pisownia współczesna), Sakres, Chevalier; są ormianie: Minasowicz, Augustynowicz; jest holender: Horlemes; są szkoci: Czamer, Czorn, Lermunt. Ostatni zresztą bawi tylko gościńcem.

Wszystkie te nazwiska wzięte są z najwybitniejszych. Nosili je magistratura, kupiectwo wyższe, właściciele domów w mieście i folwarków po za miastem. W żadnym też dziale nazwiska te nie wyczerpują listy. Łańcuch ich, zwłaszcza z ogniwami niemieckimi, dwakroć jeszcze dłuższym możnaby uczynić.

Na oceanie tym zjawiają się jako *rari nautes*: Baryczkowie, Falkiewicz, Długosze, Drewnowie, Wolscy, Łukaszewicze, Rembowicze, Wilki, Mrozy i t. d. Nieliczni, ale krzepcy, trzymają się na powierzchni. Potem zastęp ich zwiększa się; nigdy jednak przewagi liczebnej nie zdobywa.

Zresztą mozaika ta jest tak misternie ułożona i dopasowana, że z pewnej odległości czyni wrażenie obrazu jednolitego. Czas wypełnia i zaciera małe przerwy pomiędzy kamykami i kładzie na wszystkim jednostajną polewę. Po kilku dziesiątkach lat nikt już nie myśli o tem, że szlachetny Maryan zwał się niegdyś Marianim, Dzianota — Gianottim, Giza — Gissem, Liść — Leistem i t. p. Zyskuje na tem harmonia obrazu, a i kamykom krzywdę się żadna nie dzieje.

Co się tyczy Szeligów, pewne jest to tylko, że się kilkakrotnie z rodzinami o niemieckim nazwisku koligacili. W kolei czasów wchodziły do ich domu: Korbówny, Gissówny, Fukierówny. Było to zwyczajne podówczas i nieuniknione. Szlachcianki gardziły mieszczanami, mieszczanie gardzili kmieciównami. O ile więc który z nich nie przywiózł sobie małżonki z obczyzny, brać ją musiał z ciasnego obrębu Starej lub Nowej Warszawy. Ale i tu nawet (o wieczna ludzkiej próżności komedyo!) rzadko przychodziło do łączenia się dwóch połów jednej całości. *Civis Antiquae Varsoviae* spoglądał z góry na ziomka zamieszkującego *Novam Varsoviam*. Do osobliwości też liczyło się, by przed ołtarzem stawiali: oblubieniec z tej strony bramy Nowomiejskiej, a oblubienica z tamtej.

Zwolna też patrycyat Starej Warszawy przetrwał się w jedną wielką rodzinę. Już to byli nietylko współobywatele, ale kumowie i powinowaci. Związek też ich odznaczał się niezmierną spoistością. Drzewo genealogiczne jednego bywało drzewem genealogicznym wszystkich.

Kto ciekawy, może dziś jeszcze odczytać ryte w marmurze słów tych potwierdzenie. Znajdzie je w Rynku staromiejskim, na tablicy wmurowanej we front domu ongi Baryczkowskiego. Spotka tam powiązane w jednym napisie nazwiska i rody: Baryczków, Marjanów, Kulskich, Fukierów, Bartolów i innych. Jak w gąszczu leśnej, konary rodów zaplątują się tak mocno, że drzewa od drzewa nie odróżnisz.

Miała więc w sobie i Basia Szeliżanka niemieckości dziedzicznej sporo. A nie była to niemieckość

spokojnych równin Brandenburgii, ani zdrzemniętego przy szumie fal Pomorza, ani wreszcie lisich, złowrogich nor pruskich. Wiała od niej poezja Czarnego lasu i zamków nadreńskich. Minnesingerów najczulsze pieśni widok jej na myśl przywodził.

Była to zaś dopiero jedna istoty tej wybranej połowa.

W drugiej uosabiało się wszystko, co najpiękniejszego posiada Mazowsze.

Basia rozmodlona, z liczkami bladawym, z oczyma spuszczone, z twarzą cieniem długich rzęs omroczoną, przypominała aniołów Dürera. Ale Basię, którą chochlik szesnastu lat rozswawolił, której buzia rumieńcem dziewczęcym się oblała, której oczyma gorącym promieniem zdrowia i młodości strzeliły, przyrównać wypadało do jagody, do maliny, do róży, do boginki wreszcie słowiańskiej, której śmiech kaskadą pereł rozsypuje się po świeżej, wonnej łące.

Basia należała do tych mieszczek, które w znawcach herbowych podziw i niedowierzanie budzą. „Możliwe-ż to — mówili — aby z plebejuszowej płonki kwiat taki wystrzelił!” Za wąż się ciągnęli, podśmiewali, oczyma myśl tajoną dopowiadali. „A ona-ż Szeligowa — zagadywał niejeden — niewiasta była gładka? A czy była też dworska i krotofilna? A braci szlachty dość u nich bywało? A gamratować z gospodynią lubili?...“

Z pojęt cieleśnych dwie miała Basia najcudniejsze: oczy i włosy. Z pojęt duchowych jedną, która jednak za wiele innych starczyła: słodycz niezmierną rozlaną w twarzy, w mowie, w obejściu się całym. Dziś nazywamy to kobiecością.

Włosy Basi, bardzo długie, bardzo gęste i bardzo miękkie, miały barwę jasnego bursztynu. Nosila je zwykle rozpuszczone i obrączką złotą opięte. Gdy na włosy te padł promień słońca, zdawały się otaczać głowę nimbusem świetlanym.

Co się tyczy oczów, były one bardzo duże i bardzo piękne. Ale były-ż modre, szare, czy zielonkawe? Nikt barwy ich nie znał napewno. Najpierw dlatego, że barwa mieniła się w tych oczach nieustannie, jak w opalu; następnie, że rzadko komu danem było w nie się wpatrywać.

Można było Basię znać długo, a jednak oczu jej ani razu nie widzieć.

Dziewczyzna miała zwyczaj (przez naturę dany, lub może przez ciocię Ofkę podszeptnięty), że niemal bezustannie trzymała oczy w ziemię spuszczone i rzęsami długimi zakryte. Na ulicy, w kościele i w każdym tłumniejszym zebraniu, nikt jej z oczyma podniesionymi nie widywał.

Gdy wyprzedzając sparaliżowaną ciotkę i objuczonego książkami modlitewnymi pacholika, szła (właściwie byłoby powiedzieć płynęła) do Fary ze złożonymi na piersiach rękami, ze wzrokiem opuszczonym, w toczku z aksamitu błękitnego na jasnych włosach, w przepasce perłowej na czole, w lekkim, białym, całą postać opływającym kwefie, wyglądała jak cherubin, z malowanego okna starej, gotyckiej katedry.

W domu, dla swoich, była inną. Złote włosy w warkocz gruby zaplotłszy, suknię wdziawszy z materyi kwiecistej we dwa różne wzory, na ręce po łokieć obnażone maneli złotych nakładłszy, a nóżki ma-

leńkie w aksamitnych patynkach uwięziwszy, była już nie po anielsku, ale po kobiecemu piękna i pełna jak ptak rajska, jak wonny owoc, jak cukierek...

Urabiała ją dwa różne wpływy: ojca, który jedynaczkę pieścił aż do ubóstwienia, i ciotki, która mówiła jej wciąż o chrześcijańskiej pokorze i o ekstazach najwyższych, jakie daje modlitwa. Była więc Basia: wykwinna w upodobaniach i obsłonek puchowych w życiu potrzebująca, ale zarazem gotowa ze wszystkich ponęt świeckich uczynić ofiarę, gdyby od niej tego w imię religii zażądano. Bywały dni, w których za przykładem ciotki, nie wahała się pod jedwabną koszulką włosicnicy ukrywać kolczastej. Do dziwów to zresztą w owe czasy nie należało.

Ciocia Ofka, jakkolwiek prawie wcale zmysłami nie żyjąca, miała wszakże jedną ziemską namiętność, którą siostrzenica od niej przejęła. Co prawda, było w owej namiętności tyleż ziemi, co nieba, stanowiło ją bowiem: zamiętnienie w muzyce.

Basia grywała na lutni i na klawikordzie, który nazywano podówczas *cembalo*. Ale z pod palców jej nie dobywały się inne pieśni, jak tylko nabożne. Niemal w każde świąteczne popołudnie cała rodzina Szeligów przysłuchiwała się pieśniom tym w zachwycie. Nikogo wszakże skrzydła ekstazy nie unosiły tak wysoko, jak samą grającą i ciotkę.

A nie tylko muzyki wyuczono dziewczynę. Tańiec i śpiew również jej obce nie były. Malowała nawet potrosze — jedwabiami barwnymi na krosnach. Prócz tego mówiła dobrze językiem niemieckim, który był niezbędny, i językiem włoskim, który był modny. *Si parla italiano* należało wówczas do haseł

równie częstych, jak dziś *on parle français*. Wreszcie знаła o tyle łacinę, że mogła być modlić się z książki łacińskiej i rozumieć w książkach polskich łacińskie sentencje.

Piękna, miła, rozumna i bogata, powinna była mieć wielu zalotników. Nie miała ich jednak. Szkodził jej właśnie nadmiar przymiotów. Był to kwiat zbyt wytworny, aby śmiało rękę po niego wyciągać. Przytem za wiele w niej było tego, co byśmy dziś nazwali „idealnością“, a w czem podówczas nie smakowano.

— To święta... — mawiali jedni. — W ramki ją oprawić, lampką z Loretu oświetlić i modlić się do niej — zdaleka...

— Szeligowie nie dadzą córki mieszczańskiemu — twierdzili inni — Baryczce chyba, albo z Gissów któremu...

— Będzie, co przeznaczono! — kończyli starzy. — Przyjdzie taki, co dziewczkę i wiano zabierze. Byle był nasz — boć szkoda bogactw takich za mury wypuszczać....

V.

Będzie, co przeznaczono.

— Siniora i siniorina pozwolą?...

Jednocześnie z temi słowami ręka, jedwabnym rękawem opięta, wykonała ruch od chrzcielnicy do dwóch przeciskających się przez tłum niewiast, i wyciągnęła ku nim białe, opierścienione palce, w wodzie święconej zmaczane.

Właśnie bowiem ręce niewiast, ponad głowami tłoczących się w kruchcie osób wyciągały się w daremnym wysiłku w stronę marmurowej konchy, wodą ową napętnionej.

Jedna z tych rąk była rączką, druga rączyskiem. Pierwsza, w złotonitnej półrękawiczce, maleńka, wązka i zakończona paluszkami o rubinowych paznokietkach, należała widocznie do młodej i pięknej dziewczyny. Druga, całkowicie z futrzanego mieszką wydobyta, duża, koścista i żółta, pomarszczoną skórą obciągnięta, była jedną z tych rąk bezpłciowych, jakie może mieć równie dobrze mężczyzna, jak niewiasta — pod warunkiem, że będą oboje starzy.

Przez chwilę troje tych rąk tkwiło nieruchomo w powietrzu. Potem rączka zaczepiona wykonała lekliwy ruch wstecz, ręka zaś zaczepiająca lekko zadrzęła. Wreszcie kłopotliwą niepewność przecięło rą-

czysko, które woskowymi palcami dotknęło najpierw ceremonialnie ręki, a następnie dotknięcie to — ciepłe jeszcze, rzecz-by można — przeniosło pospiesznie na rączkę. Dopelnivszy tego, wszystkie ręce powróciły do swych właścicieli, przyczem najpowolniej i najchętniej dopełniła tego ręka w jedwabnym rękawie.

Działo się to w pewne słoneczne, niedzielne popołudnie, zaraz jakoś po wyruszeniu sławnego Balcera Szeligi w drogę.

Zaledwie ręka i rączysko wydostały się z tłoku i przed kościół wyszły, pozdrowiono je słowami:

— Służby moje waszmościankom oddaję. Niech będzie pochwalony!

Stary Drewno, rajca magistratu, w rozpiętej, suto szamerowanej delii, podpierając się laską o wielkiej, złotej gałę, do niewiast przystąpił.

— Na wieki! — odrzekły obie głosami cienkimi.

— Dworsko znalazł się lutnista — niech go kaci — ciągnął stary, nogami ociężałe suwając.

— Lutnista! — wyrwało się młodszej, w rodzaju westchnienia razem i zapytania.

Zaraz też zakaszłała, jakby chcąc wrażenie słowa nieumyślnego zatrzeć.

— Toć widziałem — powtórzył rajca. — Giano Baldi, śpiewak dworski, pierwszy lutnista farskiej kapeli. Schodził właśnie z chóru, gdzie na *Offertorium* swe włoskie rulady odśpiewał...

— Stateczny jakiś kawaler — zauważyła przez nos druga. — Umie starość uszanować...

Znów zakaszłano — ale tym razem w sposób odmienny.

W parę dni później podagryczny *maestro*, który

Basię gry na lutni uczył, poprosił, by go na czas powieści od lekcji zwolniono. Tłómaczył się słabością i potrzebą kuracji, wreszcie przyrzekł, że przyśle zastępcę.

Zastępcą był Giano.

Do domu bogatego mieszczanina wślizgnął się pokorny, wpół zgięty i dla Basi prawie że obojętny, a natomiast afektem darzący Ofkę. Przyjęto go z atencją, należną artyście i dworzaninowi. Attencyi okazał się godnym, umiał bowiem roztoczyć uroki człowieka światowego, popisać się wykształceniem, kologacyami świetnymi i zamożnością.

Ofkę ujął przedewszystkiem dewocją wielką — równą niemal tej, jaką ona praktykowała. Pierwszy jego pokłon, gdy na lekcję przybywał, skierowany był w stronę obrazów świętych, które ściany mieszczan-skiego domu gęsto były zawieszone. Relikwie nosił i ciotce ich udzielał. Mawiał z nią wiele o Rzymie, Papieżu, o cudach, na które sam patrzył lub których doświadczała jego rodzina. Jednego wieczoru wyznał jej poufnie, że się w każdy piątek biczuje.

Nawiasowo i jakby z niechęcią napomynał o swem bogactwie. Miał w bliskości Rzymu kopalnię marmurów, pod Neapolem winnice, w Wenecyi pałac. Gdyby chciał, mógł być używać tytułu *conte*. Do Warszawy sprowadziła go jedynie chęć poznania Zygmunta, „największego artysty pomiędzy królami“.

— Ależ rozmiłowałem się w waszej stolicy — dodawał — i gdyby przeznaczenie chciało...

Nie kończył — spojrzenie wszakże jego odpowiadało:

— Jużbym się ztąd nie ruszał...

Ofka była olśniona. Ile razy mistrz z uczennicą

duety grywali, przenosiła oczy z jednego na drugiego, jakby chciała promienie ich dusz w jedno ognisko zastrzelić.

Ogromnie od Ofki okazała się inna kobieta, w domu Szeligów przebywająca. Była to daleka powinowata, współwychowanka Basi. Uważano ją przez pół za sługę, przez pół za przyjaciółkę. Na imię jej było Dobra albo Dobruchna. Na kamienicy Balcerowej sumkę miała, przez matkę Basi zapisaną; tymczasem, by chleba darmo nie jeść, gospodarzyła w domu opiekunów. Do gospodarskich zajęć Ofka była za stara, a Basia za piękna.

Dobruchnie wymuskany grajek nie przypadł do smaku. Słuchając pochwał, przez Ofkę wyśpiewywanych, powtarzała;

— Juraś gładszy... Juraś pocziwszy... Juraś stateczniejszy...

Powtarzała to głośno, przy wszystkich, powtarzała też samej Basi tylko, gdy w komnatce dziewiczej poufnie gwarzyły.

— Jurasowi ciotka przekorna... — mówiła Basia w zamyśleniu.

— Ciotka nie matka! zniewolić cię nie może...

— Ojciec jej słucha i stryjek jej słucha. Wszystkiem jest. Alboż nie tak się zawsze dzieje, jak ona ze chce?

— Bo ty się głosu swego wstydasz. Powiedz rozolutnie: chcę Jurasia — a Juraś twoim będzie.

Zapłoniona buzia dziewczyny kryła się wśród złotych haftów, na krośnach rozpiętych. Usta jej milczały.

— Czyż ci Juraś nad wszystkich nie droższy? — nalegała powiernica.

Śliczne oczy szeroko się otwierały, a spojrzenie ich, wskroś szybek w otów oprawnych, uciekało daleko. Błądziła wzrokiem po szczytach baszt obronnych, po zaroślach Kępy polkowskiej, po łąkach i borach zarzecznych, aż wreszcie z ust jej wybiegało westchnienie i odpowiedź cicha:

— Nie wiem...

Złą było to wróżbą dla młodego Zawiaślaka — gorszą pono od zakazu bywania, jaki przed półroczem usłyszał. Zakaz spowodowany został nieobecnością gospodarza i ustać miał wraz z jego powrotem; niepewność przeciągnąć się mogła dłużej — na zawsze może...

Ze strony Jura zuchwalstwem poniekąd było marzyć o córce Szeligi. Nie brakło jednak racyj, które go usprawiedliwiały. Najpierw, był młody i miał serce kochliwe. Potem, nieboszczyk rodzic jego z ojcem Basi w przyjaźni żyli serdecznej. Potem jeszcze, sam on szczycił się łaskawością Szeligi, a z jego córką dzieciństwo całe przeigrał. Nareszcie, choć nie bogacz, wcale był jednak zamożny.

Zawiaślaki, ojciec i syn, liczyli się do pierwszych na całe Mazowsze złotników. Ba, w Krakowie i we Lwowie dobrze ich wspominano. Roboty starego Zawiaślaka dotąd jeszcze w skarbcach kościelnych napotykać można. Odnalazły-by się też pewnie i w niejednym rodzie magnackim, który pamiętki szanuje.

Rodzic Jura fortunę zebrał wielką. Nie został jednak całej synowi. W czasie pamiętnej klęski pożarnej, kiedy kupy hultajstwa, rzekomo ratując, rozbijały i kradły, zrabowano mu doszczętnie pracownię i składy zasobne. Rychło też potem umarł.

Po mistrzu sztuki złotniczej pozostały: dobre imię, dworek przy ulicy Podwalnej (dziś Brzozowa), rola na gruntach Nowej Warszawy i dwie sztaby „brantu Olkuskiego“, który srebro oznaczał. Jedynak odziedziczył po nim nadto: pracownię i talent.

I młody Zawiaślak tytułem mistrza się zdobył, rodzaj wszakże tego mistrzostwa był już o wiele od ojcowskiego drobniejszy. Tak on się miał do niego, jak się ma piosenka do poematu. Jur uprawiał jedną tylko (najmistrzniejszą co prawda) gałąź złotnictwa. Był on, jak nazywano podówczas, „ryngmacherem“. Monstrancyi, kielicha, dyademu i stołowej zastawy nie tknął; natomiast kolce, pierścienie, kanaki, bramki, manele, alszbanty, i wszystko, co do stroju, białogłowskiego zwłaszcza, należało, wychodziło z jego rąk piękne, pięciwe i tchnieniem artyzmu uduchowione.

Do dworku na Podwalnej (gdzie stara Zawiaślakowa, w ciężkiem zagłębiona krzesle, po dniach całych żywoty świętych, naprzemian z horoskopami astrologów, czytywała) szli magnaci z miasta i ze wsi zamówienia czynić i gotowe kupować arcydzieła. W rzeczach handlu syn wyręczał się matką, sam bowiem, jak prawdziwy artysta, wstręt czuł do targów wszelkich. W dwóch izbach na dole kilku wyrostków wykończało grubsze roboty; na pięterku, w niewielkiej, ale światła pełnej komnatce, pracował Jur, ciszą otoczony i samotnością.

Nie była wszakże samotność owa zupełną. Świełtany obraz Basi na chwilę ztamtąd nie wychodził. Ileż razy młodzieniec odkładał narzędzia, wzdychał, chcąc powietrzne widziadło w objęcia pochwycić!...

Basia tymczasem mówiła: „Nie wiem“....

VI.

Szczerb wyływa.

W tej samej chwili, kiedy człowiek z brodą Ajaksa huknął z potężnych piersi „Węgry naprzód!” i uzbrojona cudacznie hałastra, z brzękiem i szczerkiem, rzuciła się w zaułek, Szczerb, oparty silnie o krzepkie deski parkanu, doznał nagle wrażenia jakby się pod nim otwierała przepaść — nie u stóp jednak, lecz pod plecyma,...

Zabierał się właśnie do ostatecznego rozbicia klepek tej beczki żywej, która na krótkich nóżkach przed nim skakała, drażniąc go i wyzywając, gdy plecy jego straciły raptem punkt oparcia, i zdążywszy zaledwie krzyknąć: „Jezu Nazareński!” w przepaść ową runął.

W jednej chwili: krew, sztylety, zaułek, światło księżyca i ostrza halabard zniknęły mu z przed oczu, jakby je zdmuchnięto.

Potoczył się kilkanaście kroków w tył i upadł — szczęściem na coś miękkiego, co wyziewało zapach rezedy i gwoździków.

Gdy padał, zdało mu się, że gdzieś w pobliżu krzyknęto „ach”! i „och!”. Były to dwa różne wykrzykniki i dwa różne głosy, łączyła je wszakże ta

wspólność, że wybiegły oba z piersi niewieścich, młodych i wzruszonych.

Młodzieniec, nie bez trudności dźwignąwszy się, pełnym zdziwienia wzrokiem potoczył dokoła.

Ciemno tu było i cicho. Zdała tylko dochodził hałas straży, uprowadzającej więźniów. Grubych cieni nie rozpraszało światło księżyca, ile że chmurami on zaszedł, a skąpych jego blasków ściana wysoka nie przepuszczała.

Zapach kwiatów i przyjemna świeżość powietrza kazały domyślać się Szczerbowi, że jest w ogrodzie. Jakoż jął rozeznawać niepewne, rozplywające się sylwety drzew, małe kręgi klombów i plamy białe, które pewnie były posągami.

Naraz jedna z tych plam posagowych poruszyła się z miejsca i w stronę młodzieńca nadpłynęła.

— Pan Jur? — ozwał się głos pytający a niewymownie słodki. — Pan Juraś?...

Młodzieniec wyprostował się i rękę uniósł do czapki, której jednak na miejscu zwykłym nie było.

— Szczerb jestem — dobitnie oświadczył. — Bolko mi na imię.

„Ach!” „Och!” rozległo się ponownie, w odmiennej wszakże tonacyi. Jednocześnie plama biała wróciła na dawne miejsce, gdzie złączyła się z inną, tkwiącą tam dotąd nieruchomo. I zaraz szybko obie te plamy, jakby od ziemi oderwane, jęły chwiać się i w górę unosić...

Szczerba, któremu wino, walka i osłabienie zamęt w głowie sprawiały, wszystko to bawić poczynąło.

Pod boki się ujął, nogi rozstawił i wąsa do góry podciągnął.

— Anielskie wy figury! czy też duszyczki czyścowe! — rezolutnie zawołał — czemkolwiek jesteście, samego mię nie rzucajcie! Jur nie jestem, alem Jura *amicus*. Prawdę wyznałem, łaska mi się należy. Jeślim w niewoli waszej, niechże to nie będzie jasyr tatarski, a jeślim wam niepotrzebny, na wolność mię puście...

— Akurat! żeby waćpana straż marszałkowska capnęła! — ozwał się głos z wysokości.

Młodzian przeszedł w ton lamentacyjny.

— Mamże więc żyć samotny, jak pelikan w puszczy? Mamże kwiatami się karmić, jak nieboszczyk Nabuchodonozor? Mamże rosę nocną mieć za napój, jak pliszka i skowronek?

— Krzywda się waćpanu nie stanie! — uspokoił go ten sam głos, co przedtem.

Szczerb rozczulać się jał.

— Nimfy lekkostopel! — zawodził — syreny słodkośpiwne! panienki... o! paa... nien... ki...

W tej chwili pociemniało mu w oczach i w całym sobie osłabienie uczuł wielkie. Wyciągnął ręce i kroków kilka postąpił, szukając oparcia. Napotkawszy drzwi jakieś otwarte, rzucił się w nie ruchem instynktownym. Zaraz też padł, tracąc przytomność...

Gdy po długim letargu oczy rozemknął, zdało mu się, że już jest do innego świata przeniesiony.

Było mu dobrze, miękko, wonno. Pławił się w osobliwej atmosferze, zielono-złotej, ruchomemi światłami tu i owdzie roziskrzzonej. Nad głową jego bujały się banie różnokolorowe, na złotych łańcuszkach wiszące. Gdyby nie łańcuszki owe, wzięłby je pewno za planety. Dokoła unosiły się zapachy. Po-

wietrze drżało dźwiękami subtelными, niby dzwoneczków kryształowych dzwonieniem...

Przymknął oczy, poddając się wrażeniom rozkosznym. Było mu zresztą tak, jakby spoczywał na chmurach. Nie czuł ciężaru własnego ciała i nie czuł, by z czemś materyalnem pozostawał w zetknięciu.

Jeśli zaś był jeszcze człowiekiem, to pozornie tylko i symbolicznie. Jego głowa nie była głową, jego ręce nie były rękami. Dowodem to, że ani w jednym, ani w drugim władzy nie czuł najmniejszej.

Zmieniło się jednak położenie, gdy po pewnym czasie oczy powtórnie otworzył. Poznał wówczas, że znajduje się poprostu w altanie, która była nakształt kiosku wschodniego urządzona. Światło zielone pochodziło od gąszczy powojów, które miejsce ścian zastępowały. Rolę dzwoneczków kryształowych pełniły wróble i jaskółki. Zapach wydobywał się z kwiatów, dokoła rosnących. Planety były lampami.

Poznał wreszcie, że nie na chmurach leży, ale na pierzynie, i że członki jego, nie są symbolami, ale członkami najrzeczywistszemi. Stwierdziła to dostatecznie okoliczność, że każdy z nich prawie srodze go bolał. Rzeczywistość ta jednak wydała mu się równie cudowną, jak poprzednie urojenie. Umysł jego mgły jeszcze mroczyły i wypadków poprzedniej nocy nie pamiętał. Chwila obecna następowała dlań bezpośrednio po bytności u imię pana Agły, w lochu pod Ratuszem.

Z wysiłkiem niezmiernym wykręcił głowę i w bok spojrzał. Stał przy nim stoliczek turecki, niziuchny, masą perłową wykładany. Na stoliczku znajdowała się misa pełna wody, dzban srebrny, także kubki,

oraz kilka mniejszych i większych słoików. Leżały też szmaty płócienne, kształt bandaży mające.

Zdobyl się na nowy wysilek i rękę w stronę stoliczka wyciągnął.

W tej chwili tuż ponad głową jego dały się słyszeć po raz trzeci dwa znane mu głosy: „ach!” i „och!” Tym razem głosy te były westchnieniami. Zdawały się one mówić: „Chwała-ż Ci, Boże!...”

W kierunku głosów tych zwrócił spojrzenie i... zadrżał. Zadrżał nie z trwogi, lecz z zachwyty. Wśród białych i białoróżowych kielichów powoju przeświecało gwiazd świetnych czworo. Dwie gwiazdy były ciemne, dwie modre. Turkusów para, rzekłbyś, i para czarnych brylantów.

Junak opanował wzruszenie i wzrokowi swemu wyraz miłosny a błagalny razem nadał.

— Duchy opiekuńcze! — słabym rzekł głosem. — Jeśli w raju jestem, nie skazujcież mię na pragnienie piekielne! Cóż mi ztąd bowiem, że dzban zacny widzę przed sobą, skoro sięgnąć doń nie mogę...

Gwiazdy znikły.

Ale nie upłynęło „Zdrowaś Marya”, gdy jedna ich para (ta, która od czarnych brylantów świetność swą brała) pojawiła się u wejścia do altanki. Należała ona do niewiasty młodej i żywej. Po tej właśnie żywości, w ruchach ujawnionej, młodość się poznawało, lica bowiem zakrywała, w całości niemal, chustą o barwach jaskrawych. Zresztą strojący ją a dość skromny giermaczek z szarego muchajeru nie ujawniał ani bogactw, ani wytworności.

Podeszła szybkim krokiem do ławy darniowej,

na której spoczywał Szczerb, pierzynami obłożony, i w milczeniu wina mu nalala.

Młodzian chciał unieść się, aby ją po kawalersku pozdrowić, ale mocy mu zabrakło. Oczy tylko w górę wznioł i rzekł tym samym co wprzód tonem:

— Duszo niebiańska, przyjm chęci za uczynek. Chęci zaś moje są, aby ci hołd złożyć i wargami obuwia twego dotknąć...

Na to zaś ona:

— Daj waszmość pokój oracyom. Nie nakarmia cię, ani napoją. Ranom też twoim niewielka pomoc z nich będzie. Nie w raju jesteś, ani do duszy przemawiasz.

Oczy Szczerba przybrały wyraz ciekawości niezmiernej.

— Gdzieżem jest przeto—zapytał—i zkad się tutaj wziąłem?

Nieznajoma ręką kubek wskazała.

— Pij waszmość wprzódy — potem usłyszysz...

Młodzieniec usłuchał. Wino gładko mu przeszło przez gardło. A musiał to być trunek szlachetny, bo wpływ jego wnet czuł na sobie. Oprzytomniał i poweselał. Odrazu też wróciła mu pamięć nocy wczorajszej...

— Bóg zapłać! — wyrzekł, wierzcem dłoni wąsy ocierając. — Jeśli to nie raj, tedy z pewnością sławetnego Szeligi gospoda. A dalibóg prawieć to jedno...

— Myślałam — wtrąciła kobieta — że tylko włochy słodkie słowa prawić umieją. Widzę, że przylgło to już i do naszych...

— Ponoć w tym domu słodyczom włoskim nie krzywi...

Czarne oczy zabłysły niecierpliwością.

— Jak to waszmość rozumiesz? — spytała żywo nieznajoma.

• Szcherbowi wróciła fantazyja.

— Rozumiem poprostu — rzekł z dźwięcznym nieco uśmiechem. — Córką szlachetnego Szeligi w grajku od Fary zakochana!

Kobieta rzuciła się gwałtownie, poruszeniem tem połowę twarzy odkrywając. Młodzieniec dojrzał przy tej okazji, że była świeża i urodziwa, jeno śladami ospy tu i owdzie naznaczona.

— Kłamstwo to jest! — wykrzyknęła. — Kłamstwo i kalumnia! Krewniaczką Basi jestem i powiernicą, wiem przeto, co ma w sercu. O włocha tyle stoi, co o łątkę z jaselek!

— Ale lutni jego lubi słuchać... Ale przed sereнадą do alkierza nie ucieka...

— To i cóż! Ja lubię organy u Augustyanów, a organista dla mnie niczem!

Szczerba argument ten pokonał. Zamilkł i w milczeniu wasy jął nastrzępiać. Nagle uczuł między żebrami ból dojmujący. Syknął i ręką za bok się chwycił.

— Przekłętnik! — zamruczał. — Cał głębiej, a serca-by sięgnął. A i bez tego krew mógł być wytoczyć. Cóż to jest jednak? bandaż?

Dopiero teraz pod palcami poczuł, że ma kaftan przecięty i ranę obandażowaną.

— A! — westchnął i wzrok w licach kobiety zatopił.

Oczy jego najpierw cziwiły się i pytały; następnie wzruszeniem i miłością zabłysły.

— I znowu wątpić mi się, czym na ziemi, czy

w raju? — rzekł półgłosem. — I tegom również niepewny, czy białogłowa przy mnie, czy anioł?

Kobieta zaśmiała się i chustkę z twarzy odrzuciła.

— Raz więc nareszcie pozbadź się waszmość swych wątpień! — wesoło rzekła. — Alboż anioły bywają tak szpetne! Rzekłam, że Basi krewniaczką; teraz dodaję, że Kalinowska jestem z ojca, a na imię mi Dobra.

— I to waszmościanka ranę mi opatrzyłaś?

— A któżby? U nas, prócz kulawego stróża przy składach, mężczyzny ani poświeć.

— I potrafiłaś wstyd białogłowski przemódz?

— Miałamże dla wstydu pozwolić, by waszmości krew uszła? I tak niemalós jej postradał.

— Któż waszmościankę z rannymi obchodzić się nauczył?

— Nieboszczyk rodzic mój, który umiejętność tę z jasyru tatarskiego przywiózł. Zwykł on być mawiać, że niewiasta, choćby najmłodsza, matką dla mężczyzny być winna...

— I waszmościanka do nauki jego stosujesz się?

— Radabym...

Młodzieniec zamilkł i tylko brwi ściągał, a wąsa coraz wyżej zadzierał...

— No, no! — pod nosem mrucał — jakim Szcherb!... no, no!...

Raptem zasępił się.

— A Jur? — głosem niespokojnym spytał.

Dobručna w odpowiedzi rozsunęła nad głową jego powoje i wskazała w oddaleniu wystający ponad dachy kamieniczne ostry szczyt wieży. Rysował się on twardo i wyraźnie i naksztalt wielkiej iglicy zdawał się przeszywać nisko płynące chmury.

Szczerb zrozumiał i w większy jeszcze wpadł smutek.

— A tamci? — podjął.

— Z nim razem.

Z kolei powiódł wzrokiem pytającym dokoła siebie i po sobie, i dodał ciszej:

— A... ja?

— Waszmość, jako przyjaciel Jurasia, dostałeś się do jego przyjaciół. Otwarliśmy furtę od uliczki, aby wpuścić was obu; drugi jednak już do niej nie zdążył...

— Waszmościanka wołała-byś pewnie, żebym to ja był tym drugim...

— Z uwagi na Basię, tak. Waszmości nie znam, byłeś mi przeto obojętny.

— Podobą mi się ta szczerość. Zresztą nic jeszcze straconego. Ja się wnet usunę, a moje miejsce Jur zajmie — gdy już więzę odsiedzi.

— Gadasz waszmość faramuszkę. Ani Juraś tu nie wejdzie przed powrotem pana Balcera, ani też odwrót waszmości nie będzie tak prędkim, jak mniemasz.

— Wyjdę dziś jeszcze...

— Daj Boże pojutrze...

— Wyjdę zaraz.

— Nie puszczę.

— Ba! mogę nie pytać o pozwolenie!

— Furta zamknięta, parkan wysoki, a marszałkowski wężą w ulicze.

— Więc to niewola?

— Zgadłeś waszmość.

— Ha, ha, ha! I dopókiż trwać będzie?

— Dopóki się rana nie zagoi.

— Do rany cyrulika wziąć można.

— A „artykuły marszałkowskie?”

— Ho, ho! I w tem waszmościanka-ś biegła?...

— Stryjek mój *consul*, a chrzestny ojciec *adwocatus*. Wiem, że cyrulik, który opatruje rannego, donieść ma o nim marszałkowi pod winą czternastu grzywien.

— Prawda. Więc będę siedział. Ale zkąd waszmościance miłosierdzie takie nademną?

— Trochę nieba chcę sobie kupić. Książd Skarga do pielegnowania rannych nawołuje i nagrody wielkie przyrzeka. Spróbować nie wadzi.

— Tembardziej, że bez cyrulika i inna cnota chrześcijańska wejść tu może w praktykę...

— Jaka?

— Ta, która na „grzebaniu zmarłych” polega.

— Te, te, te!... Rana waszmości wierzchnia jest; żelazo do kości nawet nie doszło. Na upływie krwi się skończy. Znam się na tem. Prócz tej jednej rany są tylko sińce, zadrapania — no, i dziury w żupanie...

Zaśmieli się oboje.

— Teraz waszmość opuszczę — rzekła po chwili Dobruchna. — Inni na mnie czekają. Spokojnie leżeć doradzam i każę. W tym dzbanie znajdziesz waszmość wino, a w tamtym wodę kryniczną. W większych słoikach są sorbety, w tym zaś maleńkim balsam cudowny, który goi rany najzawziętsze. Z bandażowaniem zaczekać proszę do mego powrotu.

Skinęła lekko głowę i znikła.

Szczerb patrzył długo na słoneczny otwór altany, gdzie mu przed zniknięciem postać jej w pełnem

światło zabłysła — i tęsknością serce mu zapłynęło. Aby tęskność zwalczyć, sięgnął po wino. Drugi kubek poszedł głód jeszcze od pierwszego. Ale okazało się, że gdy tamten miał moc orzeźwiania, tego wpływ był wręcz przeciwny. Młodzieniec doznał wrażenia, jakby pierzyna pod nim rozstępować się jęła, trawy się rozplýwały, on zaś sam zapadał w przepaść jakąś miękką, ciepłą, puchową... Poty nań wystąpiły — zasnął.

Obudził go promień słońca, który znalazłszy szczelinę pomiędzy powojami, w same oczy mu świecił. Promień był czerwonawy, co wskazywało, że słońce zachodu już blizkie.

— Uuuu! — zawołał, przeciągając się z lubością. — Smacznyż to był sen!...

W teje chwili spojrzenie jego na stolik padło.

— Oooo! — zaśpiewał. — Pono przebudzenie smaczniejsze jeszcze!...

Na stoliczku stały farfurki, jedzenia pełne. Był tam ptak jakiś pieczony; był sos żółty, tak gęsty, że łyżka w nim tkwiła, jak w maśle; były owoce na sposób włoski w cukrze osmarzane; było wreszcie ciasto, taką masą szafranu zaprawne, że zdaleka powonienie drażniło.

W nagłym napadzie wilczego apetytu rzucił się młodzian na przysmaki owe i nie upłynęło minut pięć, jak wszystko zmiotł do szczętu.

Zaledwie usta otarł i odetchnął, zjawiła się Dobruchna.

Mniej była śmiała niż rano i do mówienia nie tak ochotna. Przyniosła dzban wody świeżej i potrzebę opatrzenia rany przypomniała.

Szczerbowi wraz z siłami powróciła kawalerskość.

— Ależ ja nie pozwolę — bronił się — byś waszmościanka tyle się dla mnie trudziła...

Ona jednak w milczeniu, z uśmiechem łagodnym i uprzejmą stanowczością, pełniła swe dzieło. Wodę ze dzbanu na misę wylała, bandaż świeży rozwinęła, słoiczek z balsamem otworzyła. Potem, na ziemi przykłąwszy i rozchyliwszy kaftan, który był rozmyślnie na całą długość przecięty, dawny opatrunek zdejmować jęła.

— Na wszystkie zaś przekładania jedną miała odpowiedź:

— Tak trzeba...

Tym razem, protestów zaniechawszy, pomagał jej i sam Szczerb. Opatrunek rychło ukończono.

Na podziękowanie chciał młodzian dobrodzieje swej końce palców ucałować, ale umknęło mu ich zręcznie.

Dobruchna z pośpiechem zgarniała do koszyka naczynia, uprzątnęła stolik i wodę rozlaną wycierała. Ruchy jej były zakłopotane jakieś i niezręczne, jakby mieszało ją spojrzenie Szczerba, nieustannie za nią chodzące.

Opuszczając altanę, już w progu rzekła:

— A może waszmość żądasz, by kogo z rodziny o wypadku powiadomić?...

Szczerb uniósł się na posłaniu i gorzko zaśmiał.

— Bóg zapłać! Dość oni szczęśliwi, bym ich potrzebował nową obdarzać pociechą!...

— Pociechą? — powtórzyła ze zdziwieniem Dobra.

— Toć miesiąca niema, jak rodzic mój gody ślubne pani duszce sprawił. Słodczy im nie braknie...

— A! dostałeś waść macochę?...

— Węża-m jadowitego dostał!

Nasrożył się przy tych słowach, wąsa w dół pociągnął i zębami go przygryzł.

— Gdyby jejmości rzeknięto — dodał po chwili — „pasierb twój ranę otrzymał,“ spytała-by niechybnie: „a czy aby nóż był zatruty?...“

— A! — westchnęła Dobrucha i oczy dotąd spuszczone na młodzieńca podniosła.

On już jednak tego, co spojrzenie ich wyrażało, wyczytać nie mógł. Altanę cienie zaległy głębokie; duszę zaś Szczerb a osiadła głębsza od nich zaduma.

Gdy się z niej ocknął, już nikogo przy nim nie było.

Nazajutrz powtórzyło się wszystko tąż samą koleją. Po przebudzeniu znalazł młodzian pod ręką suto śniadanie i dzban niepróżny. Podjadłszy i podpiswszy, uczuł się już o tyle silnym, że wstał i odzież na sobie jako tako uładziwszy, na ogród wyjść się zabierał. W tejże chwili jednak zawołano nań przez powoje:

— Krokiem waszmość ruszać się nie waź! Marszałkowscy szpiegują dokoła, a na dziardyn nasz z dwóch baszt widok otwarty. Do wieczora przechadzkę zostaw...

— A cóż ja nieszczęsny robić tu będę? — jęknął. Odpowiedzi nie było.

Około południa zjawiła się Dobra z obiadem. Bez chustki przysła, w odzieży strojnieszkiej i z żółtą różą w czarnych jak smoła włosach.

Szczerb z prośbą wystąpił, by z nim posiłek podzieliła. Wzdragająca się długo, wreszcie zgodziła się wypić wina trochę i zjeść ciasta słodkiego kawałek.

Jedząc, rozmawiali.

Najpierw młodzieniec zadał kilka pytań, dotyczących Basi i jej serca. Na te pytania odrzekła tak:

— Serce dziewczki szesnastoletniej (bo naszej Basie idzie dopiero na siedemnasty) tajemnicą jest dla wszystkich, a głównie dla niej samej. Czy w tem sercu mieszka Juraś, na tobym nie przysięgła, ale, że niema tam Dziana, ręczę. Co do mnie, z duszy całej pragnę, abym, jako druchna swej krewniczki, młodego Zawisłaka przed ołtarz powiodła...

— Jeśli jednak Jur jest jej obojętny?... — wtrącił Szczerb.

— Obojętny nie jest. Lubi go. Nieraz pragnęłaby zobaczyć się z nim i zabawić. Gdy owej nocy dostrzegła z belwederku godzące w niego żelazo, omal nie zemdląła. Przyszedłszy do zmysłów, biedz chciała w zaulek i piersią go swą zastawiać...

Z kolei przyszli do wynurzeń osobistych.

Dobra opowiedziała sieroctwo swoje. Chleb, którym ją karmiono w domu krewnych, omaszczony był suto, a jednak gorzki. Raziła ją dewocya Ofki i oschłość stryjka Jana, dokuczały czasami rozpierzschzonej Basi kaprysy. Najznośniejszy był jeszcze stryjek Balcer, ale też właśnie, jak na złość, niemal ciągle po za domem przebywał.

Mimochodem napomknęła o sumce, jaką ma u Szeligów. Nie było to wiele, ale i nie było mało: dwieście czerwonych złotych z procentami...

— Dwieście czerwieńców! — zawołał Szczerb. — Ty tyleż właśnie, ilem dostał od tatusia, by mu się więcej na oczy nie pokazywać!

Dziewczyna westchnęła.

— Pewno rodzeństwo waszmość masz liczne?— spytała.

— Jeden jestem jak palec. Ale i jednego czasem zanadto!

Dało się słyszeć długie westchnienie.

Młodzian w odpowiedzi zrobił taką minę, jakby drwił z całego świata—od siebie samego poczynając.

— O owych czerwienicach — z fantazyą dodał — historia jest taka. Podzieliłem ją na trzy garście. Pierwszą garść przepiłem; drugą przepijam; trzecią przepiję. *Bibi, bibo, bibam.*

— A potem co? — z trwogą zapytała Dobra!

— Potem będzie co zawsze na końcu bywa, a co również było i na początku. Na początku zaś było — nic.

— Na początku było słowo — poprawiła dziewczyna.

— Mówię: nic, i swego nie cofam. Nic rodzi nic i kończy się niczem. *Clarum est.*

Dobruchna obruszyła się...

— Ech! gadasz waść brzydko — jak socynianin...

— Jak syconianin raczej — miód bowiem sycony częściej nadewszystko.

— Nie chcę słuchać herezji takich!... Odchodzę!

Więc junak dał pokój żartom i gniewną dziewczynę przeproszać jął. Bez trudności zresztą zgoda między nimi wróciła.

Dni takich upłynęło jeszcze dwa. Rana pod balsamem i bandażami cudownie się goiła; sińce barwy nabierały żółtawej, a po zadrapaniach ślad na-

wet ginał. Jedzenia dobrego było zawsze w bród, wina także. Młodzieńcowi niewola wcale się nie przykrzyła, pomimo, że dopiero z zapadnięciem zmroku z kryjówki mógł wychodzić.

Basia przez cały ten czas nie pokazała się w ogrodzie ni razu.

Nareszcie trzeciego dnia, a czwartego wieczoru (który bezksiężycowy był i ciemny) strażniczka oświadczyła więźniowi swemu, że mu wolność powraca. Podziękował, bez nadmiaru jednak radości. Ona również cieszyć się tem zbyt nie zdawała.

Otworzono z klucza i ryglów furtę zamczystą. Dobruchna wyjrzała w zaułek. Nic podejrzanego nie dostrzegłszy, rzekła:

— Można...

Wówczas Szczerb, zwyczajem ówczesnym, czapkę zdjął, dłoń nią okrył i okrytą dziewczynie podał. Ona ruchem wstydlwym i ostrożnym położyła na niej swą rączkę. Młodzieniec rączkę tę do ust podniósł i ucałował, a potem i do piersi przycisnął.

— Do zobaczenia — rzekł.

— Rychłego... — szepnęła ona.

Furta zamknęła się.

Szczerb unosił z sobą różę żółtą, podobną do tej, którą dziewczyna we włosach miała.

Może to nawet była ta sama róża...

VII.

Sieć dla muchy.

.... — „Aby żaden nie ważył się w miastach, na zjazdach publicznych, po przedmieściach i w okolicznościach jego i na każdym innym miejscu pod rezydencją naszą, z rusznicami, z czekanami — słysz waść: z *czekanami*! — z kilofami, z broniami niezwyčajnemi chodzić, a kto-by się tego ważył: przez urząd marszałkowski ma być czternastą grzywien karany *ex delatione cuiusvis*.“

Czytający odsapnął i, dobytą z zanadru chustką załzawione oczy otarł.

I znów na ceglanej posadzce zadźwiękło podkute obuwie Jura, który szczupłą celę wieżową z końca w koniec szybkimi przemierzał krokami.

— A dalej co? — po malej przerwie zapytał.

— *Patientia!* — zaśpiewał tamten przez nos. Sięgnął pod zydel i z kufla glinianego z cynową nakrywą tęgi łyk piwa pociągnął. Zaraz potem, nos czerwony pomiędzy papiery wetknąwszy, wziął się na nowo do czytania.

— „Gdzieby też kto, na któremkolwiek przy bytności naszej miejscu, zwadę zaczął, policzek komu albo razy sine zadał, broni dobył, choćby nie ranił, ma być karany winą.“

— Winą? — powtórzył Jur niecierpliwie, w miejscu stając i podkówką cegłę krzesząc.

— „Winą... winą“... — ciągnął czytający opieszale, jakby z niepokojem młodzieńca drażnić się chciał. Pergamin chustą strzepywał, do samych oczów przykładal — wreszcie głosem dobitnym dokończył:

— „Winą sześciuset grzywien i siedzeniem w wieży pół roku.“

Podkówka silniej uderzyła o cegłę, aż kurz czerwony z niej poszedł.

— Koniec? — spytał młodzieniec porywczo.

— Jedno jest jeszcze. „Ktoby *ex contetione* a to z pijaństwa, rany komu zadał, opodał od zamku, na ulicy albo na którym innym miejscu, takowy, odkupując gardło... odkupując gardło“...,

— Kończ-że waść do biesa!

— „Takowy, odkupując gardło, winę dwóchset grzywien, *parti et officio per medium*, zapłacić będzie powinien, i w wieży ćwierć roku siedzieć.“

— To wolę... — mruknął Jur, jasną bródkę gładząc.

Tamten w chustę brudny nos wytarł, potem ją po czole, policzkach, brodzie i szyi przesunął. Do kufla potem zajrzał i nosem długim wąpiąco jął kiwać.

— *Incertum est* — zauważył. — Rzecz jest niepewna. Czem-że bo waszmość stwierdzisz, żeś działał w pijaństwie?...

— Dwóch nas było.

— Ba! — drugi placu nie dotrzymał. *Fugam fecit*.

— Co?

— Mówię: *fugam fecit*, lub, jeśli waść wolisz łacinę piękniejszą, *in fugam se dedit*..

— Ha, Bóg z nim. Choć nie powinien był druha w przygodzie opuszczać. Ale dokąd uszedł? którędy? Chyba ziemia się pod nim rozstała?

— Bywa i tak. Zresztą ścigać go można...

— A! strzeż mnie Boże. Uszedł, niema go i basta. Na mnie padło — wycierpię.

Usiadł na ławie i zadumał się.

— A owym-że — zapytał — nagle nic nie będzie?

— O kim waść mówisz? — o włochach?...

— Tak.

— Ha... no... niby... hm...

— Cóżto? w gardle waści zardzewiało, czy co?

Mruczysz, a nie gadasz.

Odpowiedzią było spojrzenie wymowne, na kufel próżny zwrócone.

Jur zrozumiał. Do drzwi okutych podszedł i zapukał w nie lekko. Uchyliły się odrobinę i przez szparę wąską ukazała się w nich kudłata głowa sługi miejskiego! Nad głową zabłysło ostrze halabardy.

— Fracku? — rzekł więzień do strażnika — masz jeszcze „wareckie“?

Głowa pochyliła się przytakująco i zniknęła. Po chwili ukazała się w szparce ręka, dzierzająca dzban kształtu konwi. Ku ręce tej właściciel kufla podreptał szybko ze swem naczyniem, które zaraz też napełniło się trunkiem pienistym. Drzwi zawarto i rygiel w nich zaskrzypiał.

— No, mości Kleofasie! — rzekł Jur. — Dar mowy wrócił ci już pewnie?

Staruch z czerwonym nosem kufel odstawił i pianę, na wąsach obwisłych pozostałą, wargami jął

wysysać. Dopiero z tem się załatwiwszy, do papierów swych powrócił.

— Co się tknie włochów — mówił zwolna, ociągając się — dwa do nich *puncta* zastosować można. Z obu jednak pociecha niewielka. Marszałkowi interpretować je wolno jak zechce. A Myszkowski... (tu głos zniżył i niespokojnie w stronę drzwi zerknął)... Myszkowski... no, wiadomo...

Nie dokończył i do wysączenia kropli ostatnich w milczeniu się zabrał.

— O Myszkowskim powiadają — Jur podjął — że odda trzech szlachty polskiej za jednego psa włoskiego...

— Tssss!... nie tak głośno!... — szepnął Kleofas. — Choć nie fałsz to żaden, jeno prawda. Sam to kiedyś na zamku rzekł...

— Wspomną mu to przy okazji! — A *puncta* owe? Czerwony nos zanurzył się w papierach.

— *Punctum* pierwsze — czytać jął stary. — „Ten, który-by *in justo defensione vitae, gravi laceratus injuria* kogo zranił, *arbitrio* sądu marszałkowskiego *subiacebit*.“

— A drugie?

— „Trąbienia żadne, oprócz stołów i wjazdów przednich panów senatorów, także i na surmach grania, osobliwie w nocy, aby nie były.“

— Winy nie oznaczono?

— Nie.

— Hm... Bez szkody żadnej wyjść mogą.

— Nie powinni — ale mogą. Tak będzie, jak się marszałkowi podoba. *Quod libet, licet*...

Jur ręce zaplótł w gniewie bezsilnym.

— Wszelako nie powinni! — powtórzył Kleofas, jakby dla dodania młodzianowi animuszu. — Na ostre szli. Krew była po stronie waszej — sińce jeno u tamtych... Waszmościa niezawodnie mocno poturbowano?

Jur ręką pogardliwie machnął.

— Rany wszystko płytkie. Tłuszcz cyruliczny goi je ledwie nie na poczekaniu!

— To źle. Gotówem jaskrów przynieść, byś sobie waść jątrzył miejsca skaleczone...

— Ale i tamtych chyba nie same sińce. Pomnę, żem grajkowi dobrze raz dojechał. Gdyby nie aksamit na łbie śliski, byłby *mortuus*.

— Tssss! — syknął stary ostrzegająco. — *Pudentia et vigilantia*. Czuj, bracie, i język na uzdzie trzymaj. A teraz Bogu cię zlecam — mnie gdzieindziej czekają.

Stary podniósł się z zydła, papiery pozbierał, w kieszenie je powtykał i krokiem niepewnym ku drzwiom postąpił.

Jur zbliżył się i monetę srebrną w rękę mu wsunął.

— Bez rady mnie rzucacie, mości Kleofasie? — zapytał z wymówką.

— Radę-m dał. Milczeć, czekać i Bogu sprawę zlecić. Zresztą zejść tu jeszcze kiedy mogę — jak znowu Frącek straż będzie trzymał.

Na znak umówiony, drzwi od zewnątrz odryglowano i stary wyszedł, nieco się zataczając.

Jurowi tajemna ta porada zamiast pociechy, niepokój przyniosła. Ów suszykufel, z równą pilnością badający zawartość statutów, jak dzbanów, od-

słonił przed nim brzydką stronę sprawy, której dotąd należycie nie pojmował. Jasnem mu się zdało odrazu, że stoi na brzegu przepaści.

Białe czoło dlonią tarł, włosy na głowie i brodzie rozwichrzył, choć mu cyrulik marszałkowski spokojność zalecił, biegał po szczupłej celce, jak szalony.

Dwieście grzywien, kwartał, a może i pół roku zamknięcia, niesława publiczna, ciężkie strapienie matki, tryumf nienawistnego rywala... ach! było od czego naprawdę oszaleć.

A Basia? Ktoż zaręczy, że dziewczka tak młoda jeszcze i tak mało samodzielna, postępuku jego fałszywie nie osądzi? Może nawet, uległszy podszeptom intrygantów, potępi go zań i przyjaźń mu swą odbierze? Teraz dopiero pojmował, że gwałt zrobiony nocą pod oknami białogłów szlachetnych, a męskiej opieki czasowo pozbawionych, był czynem niemal sromotnym. W głowie mu kołowało, gorączki dostawał, kłął w głos Aglę, Bolka i siebie...

O matce myśleć nawet nie śmiał. Staruszka zamartwił się chyba. Taki wstyd! taka niesława! taki grom z najpogodniejszego w świecie nieba! Przytem i te grzywiny, i to bezrobocie przymusowe, wcale nie w porę przychodzą. Właśnie mieszczanin nowomiejski, co rolę Zawisłaków dzierżawi, zaległ z czynszem; magnaci za robotę nie płacą: zamówień niewiele, podatki rosną, na dworku dach zapada, a mistrz od astrologii, co ze starej złotniczki bóle krzyża wyprawadza, wyciąga zarazem z jej kiesy czerwienie za czerwieniami, wyobrażając snąc sobie, że o dukaty na ziemi równie łatwo, jak o planety na niebie.

Wreszcie o wszystko mniejsza, byle dziewczka by-

ła stała i miłować go chciała. Ale brakło mu, niestety, i tej właśnie, ze wszystkich najważniejszej, pociechy!

Wzdychał i biadał; palce gryzł i ocierał oczy, do których mu łzy bezwiednie napływały. Znikąd nie spodziewał się ratunku. Czuł, że go chwycono w kleszcze, z których już się cało nie dobędzie. W marszałku widział siłę ślepą i fatalną, co zmiażdżyć go miała; paragrafy statutów wydawały mu się wężami, które z sykiem i gwizdem pelzły doń, by go opasać i zdusić...

Pomiędzy nim a Basią stanął nagle mur nieprzebyty, a cegły do tego muru sam on zniósł, przez porywczosć swą i zaślepienie. Alboż nie było rzeczą pewną, że gwałt, zrobiony *intra muros*, zaprowadzi go do więzy i niesławą okryje.

Coby powiedział na to rodzic jego, statecznością słynący, do urzędów publicznych powoływany i w Kole ławniczem nierzadko zasiadający!

Czyż córka jedyna Balcera Szeligi, patrycyusza Starej Warszawy, spojrzeć nań teraz zechce? Ba! toć dziwem-by nawet nie było, gdyby przełożyła nad niego włocho, który pod jej okna nie z burdą pijacką, jeno ze słodkimi wybrał się pieśniami...

Brrrr!... ta myśl ostatnia ostrzem noża serce mu przeszyła. Basia odwracająca się od niego ze wzgardą... Basia oddająca białą rękę Gianowi, w atłasy i aksamity strojnemu... Basia u boku znienawidzonego rywala, szczebiocząca *io t'amo* z pełnem miłości i szczęścia wejrzeniem... Al! piekło nawet katuszy takich nie wymyśli!

Jur zasłonił oczy rękami, aby obrazów okropnych nie widzieć. Nie pomogło to jednak. Wy-

braźnia rozgorączkowana pokazała mu jeszcze najbogatszą z komnat Balcerowskich, a w niej gody weselne Basi i Giana, obok zaś: loch ciemny, a w nim jego samego, na wiązce słomy zbutwiałej...

To widzenie dopełniło miary.

Młodzieniec głowę pochylił i łzy gorące po twarzy mu pociekły...

O zmroku, gdy wartę przy drzwiach złuzowano, wszedł do celi Frącek, kaganek wnosząc zatłony. Widząc więźnia srodze strapionego, pocieszać go jął. Chłop to był prosty, dzięki jednak ciąglemu ocieraniu się o sprawy więzowe, wiedział o nich niejedno.

— Panisko się nie gryź... — tonem rzekł pocieszającym — sprawa wždy nie gardłowa!...

Jur westchnął tylko.

— I do „fundy“ paniska nie wsadzą — ciągnął Chrzan. — Trupa nie było.

— Ale tyle miesięcy zamknięcia! ale sromota okrutna!

— O — wa! Z wina to przecie poszło, nie z charakteru. Z wina i z prędkości. A te miesiące to i cóż? Przeleć jak z bicia trzasł!

— Co ja tu będę robił! — biadał więzień, głową jak talmudzista kiwając.

— Krzywdy panisko nie dozna. Ja w tem i stąrosta. Wždy to kum waszmościnego rodzica — pan dobry dla swojaków, a dla niemców jeno kat. Już on i tym waszmościny muzykantom zalał sadła za skórę!

— Włochom?

— Tak, miemcom. Zamknął ich do takiej dziury, gdzie jeno nietopyrz wytrwa. Niby to z tej racvi,

że lepsze izby zajęte. Lamentują też psiawiary, oj lamentują, aż się na całą okoliczność rozlega...

Jur słuchał tego z widocznym ukontentowaniem.

— Ale im nic nie będzie!... — westchnął. — Napadnięci są, nie napastnicy. Upiecze im się z pewnością.

— Pewności to tu jeszcze nie ma.

— Marszałek osądzi ich łaskawie. Przecie włoch to z duszy i z odzieży!

— Właśnie, że sądzić będzie inny. Jegomość pan Myszkowski ma w Zamku robotę. Osądzi pisarz.

Wszystko to podziało na Jura uspakajająco. Głowę podniósł i weselej spojrzął przed się.

— Cknić mi się tu będzie... — rzekł głosem, o wiele już spokojniejszym.

Frącek w głowę się stuknął.

— Paniskowi bez roboty markotno. Narzędzia złotnickie trza tu sprowadzić. Ot co!

Młodzieńcowi oczy zaświeciły.

— Prawdęś rzekł, Frącku — odpowiedział. — Przy warsztacie czas-by się mniej dłużył. A i do lba mniej-by czarnych myśli lazło.

— Uładzi się to, uładzi!

Zaraz nazajutrz młody złotnik, narzędziami swemi otoczony, kreślił model niewieściego naszyjnika, w którym spletały się misternie dwie gotyckie litery B. S.

Twarz miał prawie pogodną, a chwilami nawet — zapomniawszy się — poświstywał...

VIII.

Pajęczyna dla baka.

U Fary było pełno. Suma, celebrowana przez biskupa, ściągnęła cały kwiat mieszczaństwa i liczny poczet szlachty. W ławkach i stallach, na gankach dworskich i na niskich, wzdłuż ścian ustawionych stolikach, zasiedli patrycyusze Starej Warszawy, oraz dostojnicy państwowi. Błyszczało to wszystko papuziemmi barwami odzieży, połyskiem jedwabiu, futer drogich i aksamitów, ogniem łańcuchów złotych i zapinek kosztownych, kamieniami różnofarbnymi sadzonych.

Mieszczanom świeże *laudum* przeciw zbytowi nie pozwalało roztaczać bogactw tak widomie, jak to czyniła szlachta. Przewaga też blasku i malowniczości była po stronie ostatniej. Jednak zamożni kupcy nawet i w skromnem z pozoru odzieniu umieli potęgę pieniężną uwydatnić. A nie zbywało im i na powadze zewnętrznej, na wyglądzie pięknym a dostojnym. Niemal wszyscy mieli włosy długie, trefione, a na twarzach bujny zarost, kształtem rozmaitym przystrzygany. Obok wąsów polskich spozstrzegaleś brody szwedzkie, hiszpańskie i inne.

Większy jeszcze przepych widniał między niewiastami. Wśród młodych przeważała w odzieży barwa niebieska („obłoczna“, jak mawiano), a w klej-

notach perły. Starsze występowały niemal wyłącznie w czerni, roziskrzanej tu i owdzie tęczowymi iskrami brylantów. Niektóre z dziewic miały włos rozpuszczony, a na nim wianek z kwiecia świeżego, co było pamiątką prastarych, słowiańskich jeszcze, czasów. Ubiór matron zbliżał się barwą i krojem do odzieży zakonnej.

W bocznych nawach i pomiędzy filarami (które mozaikowały wówczas gęsto kamienie nagrobne) tłoczył się naród podlejszy. Ale i ten nawet nie był, jak dziś bywa, tłumem pospolitym i „szarym“. Barwy: ceglasta, modra, żółta, a nawet krzykliwie czerwona ożywiały go przyjemnymi dla oka plamami.

Więc też słońce, padłszy w tę zawieruchę barw i blasków, hulalo bez pamięci, jak bachantka na uczcie Dyonizowej. Gdzie tylko promień jego sięgnął, istnym wybuchem znaczył swe przejście. Cóż dopiero, gdy sine dymy kadzidel przebiwszy, do *sanctuarium* dotarł! gdy oświecił ołtarz wielki, świeżo sumptem królewskim od podstaw do szczytu wyłożony! gdy złocenia te, ogniem swym objawszy, w gorejący krzak Mojżesza bogatą całość zamienił!

Obraz to był nie na dzisiejsze oczy...

Wielkim, od lat dziesięciu, to jest od daty cudu, nie 'abnącym urokiem czarował wszystkich Chrystus, przez szlachetnego Baryczkę z Norymbergi zwieziony. Korzono się przed nim, wzdychano doń, wota mu kosztowne ślubowano. Urok innego rodzaju wywierał obraz włoskiego pędzla, świeżo w wielkim ołtarzu zawieszony. Malował go na zlecenie króla, młodszy Palma, mistrz wenecki. Była na obrazie tym Najświętsza Panna, byli święci Jan Chrzciciel i Stanisław:

trójca patronów miasta, kraju i chrześcijaństwa całego. Czyż serce na tyle świętości pozostało-by obojętnem!

Organu Fara jeszcze nie miała. Dar ten, również królewski, czekał ją dopiero za lat piętnaście. Tymczasem rolę organu pełniła kapela, „na cały świat chrześcijański najsłynniejsza“, jak głosi *epitaphium* dyrektora jej, włocho, dotąd w katedrze zachowane. Kościół miał swoją kapelę, dwór swoją; w dniu jednak uroczyste dworscy muzycy i śpiewacy śpieszyli łączyć się z farskimi. Tak właśnie i w owym dniu było.

Uwaga pobożnych, pomiędzy malowidła, stroje, relikwie, śpiew i muzykę rozdzielona, ogniskowała się w jednym przedmiocie, który wszystkich w równym stopniu pochłaniać się zdawał. Ktoby śledził z pilnością promienie spojrzeń tego tłumu różnolitego, poznał-by, że zbiegały się one w prezbiterium, po prawej stronie wielkiego ołtarza, na ganku cudnie rzeźbionym, gdzie siedział jeden tylko w modlitwie pogrążony człowiek.

Człowiek ów, panujący osobą swą nad gronem dostojników kościelnych, nad magnateryą strojną i buńczuczną, nad poważnym patrycyatem mieszczańskim i nad tłumami, rzemieślniczemi korporacyami, siedział cicho i w takiej nieruchomości, że raczej posągiem się zdał, niż żywą istotą.

W jego twarzy białej, lekko zarumienionej, o rudawych włosach i takimże zaroście, malował się wielki, nadludzki niemal, spokój. Nie był to wszakże spokój marmuru; prędzej można go było woskowym nazwać lub drewnianym. Rysy te miały wyraz zastygły i niezmienny, który świadczył o zastygłej również i niezmienniejącej się duszy. A składały się na ów wyraz

pierwiastki różnorodne i spreczne: pokora i zaciętość, pobłażliwość i upór, znieczulenie moralne i wielki wysiłek umysłu ku jednemu skierowany celowi...

Ten człowiek-posąg, czy też ten człowiek-automat, miał lewą rękę opasaną różańcem, w prawej zaś trzymał książkę niedużą, z której się modlił, poruszając nieustannie blademi, wązkimi wargami. Oczy jego były wielkie, ciemne i tak przejrzyste, jak przejrzystą bywa płytka i martwo stojąca woda. Spojrzanie ich przenosiło się z książki na kapłana, a z kapłana na książkę; zdawało się też, że po za temi dwoma przedmiotami nic już zgoła dla tych oczu i dla człowieka tego nie istnieje.

Był to — król.

Nabożeństwo do połowy dobiegło. Ojciec Bembus, jezuita, chorego Skargę zastępujący, zeszedł już z kazalnicy. Zbliżał się punkt nabożeństwa szczytowy: Podniesienie.

Już Bobola, podkomorzy królewski, zwyczajem swym, z ławki wyszedł i krzyżem legł na kamiennej posadzce. Wielu mieszczan za przykładem jego poszło, o ile im na to tłok panujący w świątyni pozwalał. Fala głów pochyliła się naprzód i w tył, nakształt kłosów, na które wiatr powiał. Ucichł głos celebriansa i usługujących mu alumnów. Na powitanie chwili wielkiej wszystko skupiło się i zamilkło...

Ale wprzód jeszcze zabrzmieć miały na chórze pieśni, z pięknych najpiękniejsze.

Twarz Zygmunta straciła na chwilę swój wyraz drewniany. Odmalował się na niej lekki, radosny niepokój, jaki sprawia rozkosz nadchodząca. Twarz królewska wciąż była zwrócona ku ołtarzowi,

ale ucho lewe pochyliło się widocznie, ruchem miłosnym niemal, w stronę chóru...

Tymczasem zaszła rzecz nieprzewidziana.

Zamiast pieśni wspaniałej, która świątynię całą wstrząsnąć miała, ozwało się kilka głosów niestrojnych, głuchych i jakby śmiałością własną przelekłych. Cytry i wiole połączyły się z niemi, ale po to tylko, by zamieszanie powiększyć. Po kilkunastu taktach niefortunnych, wszystko w miejscu stanęło.

Świątynię zaległa cisza kłopotliwa. Wszyscy na chór się obejrżeli, zafrasowani i kwaśni. Na obliczu królewskiem osiadła chmura...

Ale w tejże chwili kapłan powrócił do ołtarza i zadzwikły dzwonki alumnów. Król ze stolka zesunął się i na kolana upadł; kadzielnice mocniej zadymiły; po kościele przebiegło jęklive a potężne „aaaa!“ złota monstrancja uniosła się w górę i najdumniejszy czołem przed nią uderzyli.

Po skończonej ofierze Zygmunt wrócił na miejsce, z nierozwianą na obliczu chmurą. Na jedno z pacholat dworskich, w głębi ganku stojących, skinął, a nadbiegłemu szepnął słowo jedno:

— Pacelli...

Potem na nowo w modlitwie się zagłębił.

Pacholę bocznemi schodami zbiegło do kaplicy „ciemnej“ (dziś śladu jej niema), a ztąd wskroś tłumy, rozstępującego się ze czcią przed barwami królewskimi, do chóru dotarło i na chór weszło. W chwil kilka później wracało tą samą drogą, a za niem postępował dyrektor muzyków królewskich, Asprillo Pacelli. Włoch to był zażywny, z cudzoziemska ubra-

ny, z wywiniętym u sukni kołosem, z bródką niewielką i takimiż wąsami.

Zatrzymał się on w przejściu do łoża królewskiej wiodącym i, postawę przybrawszy pokorną, czekał.

Nabożeństwo skończyło się; biskup, asystą otoczony, odszedł od ołtarza, a Zygmunt nie poruszał się z miejsca, oczy mając utkwione w książce i wąskimi wargami nieustannie poruszając. Siedzieli też i panowie w stallach i mieszczanie na ławkach, nikt bowiem nie chciał monarchy w wyjściu z kościoła wyprzedzać.

Wreszcie z ust bladych wybiegło westchnienie, woskowa twarz pochylila się automatycznie i dłoń koścista trzykrotnie, z całej mocy, uderzyła w piersi.

— Amen... amen... amen... — rozległo się wśród ciszy powszechnej.

Król powstał.

Zaraz też ruszyli z miejsc swych dworscy i miejscy dostojnicy, i tłum w nawach bocznych zakłócał się, ku wyjściu zmierzając. Świątynię napelniła wrzawa rozmów, stukanie podkutego obuwia, chrzęst złołogłowi i adamaszków.

Do króla poskoczyło pacholąt dworskich kilkoro. Jedno zabrało modlitewnik, drugie poduszkę aksamitną, trzecie worek jedwabny z różańcem, medalikami i t. p. Przy boku Zygmunta znaleźli się też wnet i komornicy. Ten mu delię podsuwał, tamten beret podawał, ów rękawice naciągać pomagał. Wreszcie monarcha, z pacholętami na przedzie, a drużyną komorniczą za sobą, skierował się ku gankowi krytemu, który prezbiterium farskie z zamkowemi komnatami bezpośrednio łączył.

Czekający w przejściu Pacelli zgiął się wpół przed królem.

Na widok włocha chmura na oblicze Zygmunta wróciła.

— A — rzekł, zatrzymując się, głosem, w którym razem i wymówka brzmiała i gniew tłumiony. — Krzywdzicie mnie, panowie — okradacie...

Pacelli zmilczał i tylko wzrok pytający podniósł na monarchę.

— Mniejsza wreszcie o mnie — ciągnął Zygmunt — ale ofierze świętej splendoru ujęliście... A jednak — dodał ciszej, choć z mocą — kosztujecie mnie 12,000 talarów rocznie...

Dyrektor, choć wiedział, o co idzie, milczenia nie przerywał, tylko coraz niżej się gnąc, śmieiej w oczy królewskie spoglądał...

— Cóż się stało — wybuchnął wreszcie tamten — z duetem lutni i cytry, który miał sumę dzisiejszą uświetnić?... Co się stało z przegrywką fletu, która mnie w smutkach moich rozwesela?... Co się stało z arją tenora, która jest na duszę moją balsamem?...

Włoch wyprostował się.

— Najjaśniejszy panie! — rzekł. — Ani ja temu nie winien, ani kapela moja. Tenor i cytrzysta poturbowani przez napastników nocnych i do wieży wtrąceni. Flecista przepadł bez śladu — może zabity...

Wielkie oczy Zygmunta jeszcze większemi się stały. Po wargach lekkie drżenie przeszło.

— Co?... co?... co?... — pytał, z wysiłkiem gniew powstrzymując. — Mój Baldi w więzieniu?... mój Fabio za... za... zabity?... I to wszystko przy obecności naszej w stolicy!... Marszałek! gdzie jest marszałek?

Komorników kilku rzuciło się szukać Myszkowskiego. Ale już Zygmunt wybuch powściągnął i twarz jego stała się napowrót woskową. Na pacholeta skinął, aby gońców wstrzymali.

— Możesz odejść, *maestro* — rzekł, do Pacelli'ego się zwracając. — Sprawa się rozpatrzy. Niewinnych krzywdzić nie pozwolimy.

W tej chwili jednak właśnie pojawił się marszałek. Przybywał służbę swą pełnić. Służba ta polegała na przeprowadzeniu króla ze świątyni na pokoje pałacowe.

Ze stroju i z miny włoch to był istny. Ale nie gachem karnawałowym zdawał się, jak wielu, co się wówczas na dworze kręcili, jeno raczej dostojnym patrycyuszem weneckim lub rzymskim. Suknie jego bogate były i okazałe. W rękę trzymał laskę — urzędu swego oznakę.

Przybywszy, skłonił się głęboko przed monarchą, obecnym zaś dał znak, by się w tył cofnęli. Komornicy, pacholeta, dworzan kilku i przywołany *direttore* rozkaz ten pospiesznie spełnili. On wówczas zajął miejsce tuż przed królem i krokiem dostojnym, mierzonym, pochód rozpoczął.

Orszak w milczeniu głębokiem szedł przez długie ganki i dłuższe jeszcze korytarze. Nikt poważnej ciszy ani szeptem nie przerwał. Pacholeta nawet żywość wrodzoną poskromić musiały. Twarze ich pół-dziecięce, z zaciętymi ustami i wzrokiem ku ziemi spuszczone, przywodziły na myśl spętanych amorków.

Król posuwał się jak automat — sztywny i chmurny.

W pałacu przygotowano dla króla posiłek po-

łudniowy. W wielkiej komnacie o złożonych belkach i sprzętach gdańskich, z ciemnego dębu rzeżanych, zgromadziła się cała rodzina królewska. Przy wejściu orszak towarzyszący monarsze cofnął się i tylko marszałek, wciąż króla wyprzedzając, wszedł do środka.

Pacelli usunął się do poczekalni, w przypuszczeniu, że go król potrzebować będzie.

Król jednak w tej chwili zapomniiał o wszystkim. Wyszła naprzeciw niego żona z uśmiechem słodkim na pobladłych po słabości niedawnej ustach. Do piersi ją przycisnął, sztywności jednak zwykłej nie stracił. Zaraz potem w atlasowej, koronkami złotymi nastrzępionej poduszce, podsunęto mu kilkotygodniowe zaledwie dziecię, które trzymała Mejerin, niewiasta o surowej i przebiegłej twarzy. Dziecię to miało głośnie później imiona: Jana Alberta. Przyszły biskup warmiński i krakowski, którego śmierć przedwczesną w Padwie czekała, niczem w tej chwili przecucia losów przyszłych nie objawiał. Śmiał się i rączkami machał, więcej patrząc na brylantową spinę rodzica, niż na jego majestatyczne oblicze. Zygmunt pochylił się nad malcem, końcami ust lekko czoła jego dotknął — zaraz do dawnej wrócił sztywności.

A już z boku za rękaw go ciągnął zuch trzyletni, o wielkich ciemnych oczach, którego szpeciło tylko niemieckie ubranie, za poważne na jego lata i czyniące zeń prawie karzelka. Tęgo zucha król w górę uniósł, w pyzaty policzek pocałował i po niemiecku do niego zagadał. Ulubieniec to był obojga rodziców.

Na ostatku dopiero ramię królewskie przyjęło pocałunek słusznego wyrostka, który w barwnym, bo-

gatym stroju, z drobnym zarostem na pełnej, białej twarzy, wyglądał pięknie i dziarsko. Na korne powitanie najstarszego syna król odpowiedział oziębło, wzrokiem niechętnym mierząc jego ubiór i cicho poruszając wargami, z których jednak ani jedno słowo nie wyszło.

Zaraz też zasiedli wszyscy do stołu i wśród szczęku srebrnych naczyń zawiązała się rozmowa — niemiecka.

Nie rychło doczekał się Pacelli słowa królewskiego.

Ku zachodowi się już miało, kiedy przyniósł mu je błękitno-różowy pazik, w mycce aksamitnej na długich rozpuszczonych kędziarach.

— Jego Królewska Mość — rzekł młodzieńcy poseł — dzisiejszego wieczora zabawiać się będzie muzyką. Rozkazuje też, aby stawili się do popisów sioń Giani i sioń Luca...

Włoch usta szeroko otworzył, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Chciał dziwić się osobliwemu rozkazowi i bliższych żądać objaśnień, ale żywe, jak skra, chłopię, nie czekając na odpowiedź, wybiegło pędem z komnaty.

Stał więc przez chwilę jak odurzony i ust nie zamykał. Powrócił jednak zwolna do przytomności i uśmiechnął się nawet.

— Ha, dyrektorze, jakżeś ty głupi! — rzekł sam do siebie. — Alboż to nie wiesz, że wola króla jest święta? Zamiast tu stać jak kołek, ruszaj czempredziej po Giana i Lukę. Czy gniją oni w lochu, czy smarzą się na dnie piekła, co tobie do tego? Król kazał, żeby byli i być muszą. A losom dziękuj, dudku, że Jego Królewskiej Mości nie zachciało się

w dodatku Fabia. Możebyś go wskrzeszać, jak Łazarza, musiał...

Nie przestając gadać do siebie, wysunął się z pałacu boczną bramą. Nie poszedł jednak ani do siebie, ani do muzyków swoich, jeno do winiarni.

Małmazji kazał sobie podać, rodzynków i sera.

— Skoro cud ma się stać — mruczał — stanie się i bezemnie.

I pił a jadł, o nic się nie frasując.

Dopiero kiedy sługa ze światłem się ukazał, dyrektor za głowę się chwycił w rozpacz. Przyszła na niego chwila takiego strachu, że mu na czoło pot kroplisty wystąpił, a usta i policzki pobladły.

Zerwał się, zapłacił i wybiegł z pośpiechem na ulicę. A na ulicy zmrok już szary panował i z wieży ratuszowej godzinę siódmą otrębywano.

— Mam już tylko niecałą godzinę przed sobą! — jęknął w zupełnym przynębieniu.

Ale wróciła mu raptem wiara w przeznaczenie i w silniejszą od przeznaczenia wolę królewską. Ręką machnął i mruknął:

— *Che sara, sara...*

I krokiem szybkim wskroś tłumu świątecznego, który wydrwiwał jego kuse ubranie, puścił się na ulicę Świętego Marcina. Przy ulicy tej w zabudowaniach rozległego klasztoru znajdowało się główne schronisko muzyków. Zaraz też obok i groby ich były. Sąsiedztwo dla dzisiejszych ludzi niepokojące, dla ówczesnych zwykłe i ani trochę nie groźne...

Przebiegł jeden, drugi i trzeci korytarz, wymijając co krok opastych zakonników i rzucając im w przelocie łacińskie pozdrowienie. Zdyszany i po-

tem okryty, znalazł się wreszcie w sieni, do przybytku muz wiodącej.

Odzywało się tu zawsze mruczenie basów, świegotanie pikulin, gruchanie fletów, jęczenie wioli — niesforny chaos różnorodnych, a nie powiązanych ze sobą dźwięków, które świadczyły, że kapela zabrała się do swych codziennych egzercycji.

W chwili, gdy zmęczony, choć zrezygnowany, zbliżał się do drzwi, na których fantazja czyjaś wymalowała gąsior szklany z naciągniętymi nań, niby mandolinę, strunami — wybuchła w zamkniętej izbie wrzawa głosów zmieszanych, śmiechów, wiwatów...

Pacelli stanął, uszom nie dowierzając.

Wśród wrzawy owej najwyraźniej słysząc było śpiewny tenor Giana i piwniczny bas Luki...

Stanął i nadsluchiwał; upewniwszy się zaś, że to nie pomyłka, w czoło się stuknął znacząco.

— Powiedziałem! — wyrzekł na głos, mocno z siebie zadowolniony.

I zaraz też drzwi pchnawszy, znalazł się wśród czerechy tak hałaśliwie i wyuzdanie wesolej, jak hałaśliwi i wyuzdani mogą być tylko włosi i muzycy.

Smukły tenor i beczkowaty cytrzysta, obaj w poszarpanej na strzępy odzieży, stali na stole i tańczyli sarabandę. Dokoła tłoczyli się towarzysze, wrzeszcząc, klaszcząc w dłonie i nogami tupiąc z wielkiej, rozsadzającej im piersi uciechy. Niektórych zapal unosił tak daleko, że stolkami o ceglana posadzkę ciskali. Szczęściem, stolki były dębowe i nie dzi siejszej roboty...

Na widok dyrektora wrzawa wzmogła się jeszcze. Giano wprost ze stołu rzucił mu się na szyję.

Luca, chcąc naśladować kolegę, upadł i sromotnie się rozbił. Wyrstek jakiś zamiast ratować tłuszciocha, siadł nań okrakiem, naśladowując Bachusa, jadącego na beczce. Wrzawa przeszła w furę, śmiechy stały się rykami...

Ale w tej chwili Pacelli rzucił hasło: „do pałacu! do króla“ — i wszystko odrazu uciichło. Wesoła, ale karna drużyna rozbiegła się w pośpiechu instrumenta szykować i strój przywdziewać odświętny.

W kwadrans później, w stronę pałacu ciągnął „gęsiego“ długi sznur postaci, w płaszcze czarne zawiniętych. Każdy płaszcz wydymał się nieforemnie na przedzie, osłaniając niesiony przez grajka instrument. Na końcu sznura wlokło się dwóch ludzi, dźwigając olbrzymie basy.

Już przy wejściu w bramę pałacową pierwszy w szeregu obrócił się do drugiego i zagadnął:

— A Fabio?

Zagadnięty pomyślał, głową pokiwał, wreszcie wykręcił się ku trzeciemu i powtórzył:

— A Fabio?

Trzeci nie wahał się ani chwili. Rezolutnie trafił w bok czwartego, pytając:

— A Fabio?

Czwarty to samo zrobił z piątym — i pytanie owo, cały orszak od głowy do ogona przeleciawszy, wróciło do pierwszego z pytających — nierozwiązane.

IX.

Dawno nie pamiętano w Wieży Okrągłej takiego gwałtu, jaki spadł na nią owej niedzieli przed wieczorem.

Myszkowski, ledwie napomnienie królewskie usłyszał, kazał wnet przywołać starostę. Na przywołanego wpadł z taką furją, że tamten języka w gębie zapomniał. Chciał zastawić się prawem, powoływać na zwyczaje — ale go wściekły marszałek, razem z prawem i zwyczajami, odesłał *ad diavolum*.

A dodać trzeba, że w czasach owych, które jeszcze w dyabła wierzyły, była to klątwa bardzo poważna i zdolna zatrwożyć zarówno tego, który kłął, jak i tego, którego kłęto.

Starosta wybiegł z pałacu jak oparzony i, mimo lat sędziwych i podagry w nogach, pomknął strzając do Wieży. Był to człek nabożny, ale opętanie i jego już dotknęło. Przez całą drogę kłął i żegnał się, żegnał się i kłął. Ludzie, potrącani przezeń, stawali i dziwili się, a kumoszka jedna dobijać się nawet jęła do furty jezuickiego „Klasztorka“, wołając:

— Ratujta-ż ojcaskowie dobrodzieje! Naszego starościunia nawiedziło!

On tymczasem dobiegł już do Wieży i bez względu na znajdujące się w niej prochy, piorunami

sypał zapamiętałe. Spadały zaś te pioruny z pogodnego zaprawdę nieba, pod tę porę bowiem — ile, że wieczór cichy był a gorący i rozleniwienie dziwne chwytalo najdzielniejszych — cała populacya wieżowa oddawała się miłemu wczasowi. Burgrabia i dwaj jego pomocnicy ciągnęli miodek w małym wirydarzyku od strony Wisły, dozorca zaś, ciężarowi do stojeństwa swego folgując, ciął sobie w karciecia z pacholami i gardło odwilżał. Nawet więźniowie uspokoiłi się i ciche rozrzedzenie do serca im weszło. Szlachetni na górze śpiewali godzinki, wyciągając melodyę, jak nie z kądzieli; plebejusze *in fundo* modlili się lub drzemali — o ile im szczury, żaby i inne plugastwa na to pozwalały.

Po słodkim śnie, jakże straszne przebudzenie!

Od klątw i łajañ odwieczna strażnica w posadach zadrżała. Wszyscy krzyczeli, w piersi się bili, do oczów sobie przyskakiwali. Wyrazy: „najjaśniej-szy“, „jego miłość“, „*injuria*“, „*immunitas*“, „królewscy“, jak błyskawice latały w powietrzu.

Skończyło się zaś wszystko otwarciem srodze ciasnej i ciemnej ciupy, w której włochów „na złość marszałkowi“, więziono, i wyprowadzeniem zdziwionych i niemal przelęktych na słońce i na wolność.

Ale choć Wieża nie była rajem, a oni sami Adamem i Ewą, zawstydziłi się przecie przy świetle dziennem nagości swojej i między ludzi wyjść się wzbraniłi. Dopiero, gdy jednego okrył burgrabia własnym sarafanem, a drugiego spowinał dozorca w fałdzisty mentlik swej żony, odważyli się nosy na ulicę wytknąć.

Urzednicy wieżowi żegnali ich ukłonami głębo-

kiemi. Następnie, aż do samego klasztoru, przeprowadzała ich w tryumfie hałastra uliczna...

Wieczorem, na pokojach królewskich, Giano śpiewał cudownie, choć o wiele smętniej, niż zwykle. Przebyte wzruszenie, lekki upływ krwi, głodu trochę i niewywczaś, zaprawiały jego *tremolanda* dziwną a porywającą melancholią. Król, który zwykł był słuchać koncertów z przymkniętymi do połowy oczyma, otwierał je na całą szerokość, ile razy młody Włoch arye nową rozpoczynał.

Nie uszło to bystrej uwagi Giana.

Skorzystawszy z chwili sposobnej, zbliżył się do Mystkowskiego i prosić ją o posłuchanie u króla. Król przedstawioną sobie prośbę na podziw łaskawie przyjął. Audyencya naznaczona została na dzień następny.

W oznaczonej godzinie wprowadzono artystę do prywatnych komnat monarchy. Można-by nawet powiedzieć: do najprywatniejszych, gdzie z bogatego oprzędu wylaniał się cichy i skromny *dilletante*.

Baldi zastał króla przy warsztacie złotnickim i w pierwszej chwili poznać go nie mógł pod tą obcą dla siebie postacią. Król, w mycce czarnej na głowie, w fartuchu ze skóry jeleniej, z zakasanymi po łokcie rękawami, ze stopami wsuniętymi w miękkie wygodne ciżmy, nic a nic nie był podobny do króla w koronie i gronostajach.

Nawet twarz jego nabierała tu wyrazu, tracąc swe rażące podobieństwo do maski...

Włoch, wprowadzony przez paza, pozdrowił monarchę głębokim ukłonem i zatrzymał się w progu. Czekając aż doń przemówia, ciekawem spojrzeniem obiegał komnatę.

Na kominku, mimo dnia gorącego, ogień się palił, a przy ogniu smarzyło się coś w małych żelaznych tygielkach. Kilkoro chłopiat kręciło się po izbie, to ogień mieszkciem rozdymając, to królowi znosząc narzędzia, to wreszcie oganką z piór pawich odpędzając muchy i chłodząc zgrzane czoło monarchy. Dwaj czy trzej kuli i piłowali. Ciszę przerywało tylko sapanie mieszka, skrzyp pilnika i młotków stuk miarowy.

Zygmunt siedział przy dużym stole, zarzuconym narzędziami, i na małym, stalowem kowadelku również coś wykuwał. To coś, o kształtach niewykończonych jeszcze i niewyraźnych, było, jak się здаje, częstką złotej monstrancyi. Model tej ostatniej, na dużym kartonie wyrysowany, leżał przed oczyma monarchy.

Artysta jednym szybkim spojrzeniem wszystko to dojrzał. Dojrzał nawet i więcej. W bliskości kominka, po za kotarą jedwabną, do połowy odchyloną, oczy jego odkryły piecyki żelazne dziwnego kształtu, pękate słoje i retorty, oraz mnóstwo naczyń osobliwych, które ze złotnictwem nic nie miały wspólnego...

— Aha! — pomyślał — tu nie tylko *przerabiają* złoto: chcieliby je także *wyrabiać*...

Myśl tę jednak ukrył na samem dnie duszy, nie pozwalając jej ujawnić się nawet w spojrzeniu.

Tymczasem Zygmunt, młotka nie wypuszczając, mówił życzliwie:

— I cóż nam przynosisz nowego, mości Giano?

Włoch się zbliżył i ucałował rękę monarchy.

— Przebaczenia-m prosić przyszedł, *Serenissimie!* — z pokorą wyrzekł.

— Marszałkowska to sprawa, nie moja! — odpowiedział król. — Myszkowski winę ci darował?

— Darował, najjaśniejszy panie.

— Toś czysty.

Zamilkli obydwu. Król młotek odłożył i pilniczkiem około kawałka swego majstrować począł.

— Ale, ale... — odezwał się nagle. — Spodziewam się, że to nie było nic nieobyczajnego?

— Co za myśl, najjaśniejszy panie! — obruszył się tamten.

— Bo wiedz, że jabym na sromotę żadną nie zezwolił. — To nie Włochy, mój miły — nie Florencia...

Artysta oczy spuścił i głosem przyciszonym szepnął:

— Nie rozpusta mię wiodła, jeno miłość...

— A! — westchnął król, obciążkami sztabkę złotą wyginając.

— Tak jest, najjaśniejszy panie. — Ja cudzoziemiec, przybłęda, rozmiłować się śmiałem w dziewczęce, obcej mi narodowością, tradycjami — może nawet myślą i uczuciem...

— I miłość to tak wielka?

— Na śmierć i na życie! Miłość Dantego dla Beatryczy, Petrarki dla Laury, Tassa dla Eleonory!...

Król obciążki odłożył.

— Jeśli to szlachcianka — dodał — żał mi cię. — Szlachta tutejsza dumna jest i niedostępna. Sztuka i artyści u niej w pogardzie. Ja sam — ciszej dodał — z talentami swemi ukrywać się muszę...

Obaj westchnęli.

— Szlachetna jest — podjął Giano — ale nie szlachcianka. Kupcówna to — z mieszczańskiego patrycyatu.

— To lepiej — zauważył król. — Choć dziś i mieszczankowie moi dąć się poczynają... Jakaż ona? — spytał po chwili, do roboty wracając.

— Świętym chrześcijańskim podobna z wejrzenia, a posagom klasycznym z postawy. Czystość jej duszy da się porównać tylko ze śniegiem, szczyty Alp pokrywającym; dobroć serca z wonią kwiatów mistycznych, które przed Franciszkiem z Asyżu zakwitały. Na lutni gra jak święta Cecylia, w tańcu nimfą zda się grecką, a gdy do rozmowy weźmie się poważnej, doża mógłby ją obok siebie i na tronie weneckim posadzić!...

— Nabożna? — przerwał król niecierpliwie.

— Przy modlitwie-m ją poznał, przy modlitwie widuję i z modlitwą na ustach radbym do ołtarza prowadzić...

— I któż ona wreszcie?

— Balcera jedynaczka...

W tej chwili nachmurzył się król, bo mu pilnik szczerbę niepotrzebną na złocie zrobił. Dmuchawkę chwycił, przy lampce jął metal topić, nitować i zle, które się stało, naprawiać. Zabrało mu to dość czasu. Póki nie skończył, słowem się nie odzywał.

Wreszcie, obecność młodzieńca przypomniawszy sobie, zapytanie rzucił mu krótkie:

— Więc?...

Baldi przykląkł na jedno kolano i raz jeszcze rękę królewską ucałował.

— Więc — tonem zaczął błagalnym — do ciebie, najjaśniejszy panie, o pomoc i łaskę przychodzę. Obcy tu jestem, przesady ludzkie mam przeciw-sobie, za przybłędę mnie uważają i szarlatana. Jeżeli mię

ręka czyjaś silna nie wesprze, zginę. A któż na obcej ziemi ojcem mi będzie, jeżeli nie ty, najdostojniejszy monarcho? Któż — dodał, szeptem prawie, jakby śmiałością słów własnych przerażony — któż lepiej duszę artysty zrozumie i odczuje, jeśli nie... artysta.

Zuchwalstwo to było niewątpliwie — ale zuchwalcom los sprzyja.

Uśmiech nieznaczny przemknął po bladych wargach króla.

— Przebóg! — z żartobliwem wykrzyknął oburzeniem. — Czyżbyś uroił sobie, grajku mizerny, że król twym swatem ma zostać?...

— *Serenissime!* — szeptał włoch, z kolan nie powstając. — Wystarczy słowo jedno osoby wpływowej... Gdyby jego miłość margrabia Myszkowski, albo jejmościanka panna Mejeryn...

— Mejeryn! — zawołał król z radością. — Mądrześ rzekł. Mejeryn to robi. Ona wszystko zrobić może. Jak na toż, z mieszczanami się pokumała; w Rynku kamienicę kupuje. Tak, tak, Mejeryn rękę ci poda. Dziś jeszcze z nią o tem pomówię...

Włoch w nadmiarze radości chciał stopy królewskie całować, ale król podniósł go i po ramieniu życzliwie poklepał.

— No, no, nie przejmuj się tem zanadto. Głos stracić możesz, a któż mi ciebie zastąpi? Ja wiem, że artyści głębiej wszystko odczuwają — wiem!

Spojrzenie dodawało jeszcze: „z doświadczenia własnego“...

Ponieważ w tej chwili jeden z pomocników wydobyl z ognia sztabkę złota i niósł ją ku stołowi

w obcążkach, król rzucił się z pośpiechem do kowadła, o włochu i świetle całym zapominając.

Giano powstał chwilę w miejscu, następnie wygłoszwszy pożegnanie, na które mu nie odpowiedziano, wysunął się bez szelestu z komnaty.

Przez dwa dziedzińce, oddzielające go od ulicy, biegł jak szalony, przyspieszając głośnie, roztrącając służbę dworską, drabantów i giermków, nie ustępując nawet rycerstwu i senatorom. Karliczkę królewską, która w smudze cienia pod ścianą przechadzki używała, omal nie rozdeptał...

Chciał biedz prosto do Balcerów, ale rozmyślił się i kroki ku Bursie muzycznej skierował.

Szybko przebiegł korytarze klasztorne, unikając zetknięcia z kolegami, i celi swojej dopadłszy, na klucz w niej się zamknął.

Potrzebował nasycić się swem szczęściem, w położeniu nowem rozpatrzyć się i plan przyszłego postępowania przygotować. Na łożu się rzucił, ręce nad głowę zaplótł i ze wzrokiem w powalę utkwionym, leżał długo, bez ruchu, w myślach zatopiony.

Po pewnym czasie zerwał się na nogi. w przeciwny koniec izby pobiegł i wyciągnął z kąta sporą, misternem okuciem zdobną, szkatułkę.

Drżącą jego ręką długo w napełniających ją rupieciami szperała. Ruchem prędkim i niecierpliwym dobył wreszcie niewielką, wąską książeczkę w „weneckiej“, białej ze złotem, oprawie. Na grzbiecie książeczki, błyszczał napis: *Francesco Petrarca — Canzoniere...*

Razem z książeczką, wypadła na posadzkę mała kwadratowa deszczulka. Giano w pierwszej chwili

nie spostrzegł jej i, szkatułkę zamknawszy, na poprzednie miejsce odniósł. Dopiero, idąc do okna z Petrarką w rękę, stopą przedmiot wyrzucony potrącił i z ziemi podjął.

Deszczulka była oliwna; na deszczulce znajdowało się malowidło. Przedstawiało ono młodą, w stroju weneckim niewiastę, z czarnemi oczyma i włosom rudawym. Gdyby nie ostry wyraz twarzy, w zmarszczeniu czoła i ustach zaciętych widniejący, niewiasta była-by piękna. Z wyrazem owym była tylko wspaniała.

Baldi, ledwie na wizerunek oczy zwrócił, pobladł śmiertelnie. A jakby ten niewinny kawałek drzewa palce mu parzył, odrzucił go daleko od siebie.

Nie dość na tem. W nagłym wybuchu wściekłości malowidło raz jeszcze do ręki chwycił, paznogiemi podrapał i połamawszy na szczęty, za okno cisnął.

Zrobiwszy to, biegać jął po izbie krokami wielkiemi, dysząc głucho z tłumionego gniewu.

W tej chwili zakotłano do drzwi.

Giano zaklął i nie spieszył się z otwarciem.

Zakotłano powtórnie.

Młodzieniec naszożył się i zasuwę odsunawszy, szarpnął drzwiami gwałtownie, gotów przyjąć natręta słowem obelżywem...

W progu ukazał się — Fabio.

X.

Los nieobecnych.

Dnia jednego — we dwie niedziele może po wyjściu włochów na wolność — Dobra zastała Basię płaczącą...

Dziewczyna siedziała w swej komnatce drugopiętrowej, przy otwartem, na Wisłę wychodzącym oknie i zasłoniła duże oczy paluszkami różowemi, przez które łyzy ciekły. Tuż obok, na stolczku rzeźbionym, leżała książeczka nieduża w białej ze złotem oprawie.

Dobruchna srodze się przełękła.

— Gołąbko moja, co tobie? — zakrzyknęła, do przyjaciółki biegnąc i dłonie od lica jej odrywając.

Basia ani próbowała się bronić. Wilgotne źrenice na przybyłą zwróciła i milczała. Ale falowanie jej piersi, pod złotonitną siatką widocznej, mówiło o silnem wzruszeniu.

— Co tobie, najmilsza? — pytała tamta, okrywając pocałunkami czoło jej i oczy. — Przełękłaś się czego? chora jesteś? Może ci surowe posty cioci Ofki zaszkodziły?

Śliczne dziewczę główką potrzęsło przecząco.

— Za tatusiem ci markotno?...

Główka wciąż się chwiała.

— Chciała-byś za mury, słowika posłuchać,
w rzeczulce się poplaskać, na sianokosach z kmi-
ciównami o przepiórcze zaśpiewać?

Znaki przeczące nie ustawały.

— A może... — zaczęła Dobra i urwała.

W tej chwili jednak Basia zwróciła na nią spoj-
rzenie, które do pytań dalszych zdawało się zachęcać.

— A może—powtórzyła, do uszka małego pochy-
lając się— może... za ukochanym tęsknica cię wzięła?

Oczy Basi zabłyśły; śliczne liczko rumieńcem
się pokryło. Milczała, ale już ruchy jej główki nie
przeczyły.

— Za... Jurasiem? — szepnęła powiernica.

Na ustach dziewczęcia na krótką chwilę uśmiech
zjawił się słaby.

— Za... włochem — powtórzyła Dobra.

Ten sam uśmiech powtórzył się powtórnie i za-
raz zniknął. Zniknął z ust — pojawił się w oczach.
Był zaś rzewny, melancholii, prawie bólu blizki.

Jednocześnie z tym uśmiechem Basia prawą
ręką chwyciła dłoń przyjaciółki, a w lewą biorąc
książeczkę, tchem jednym czytać z niej jęła:

*I' vidi Amor ch'e' begli occhi volgea
Soave sì, ch' ogni altra vista oscura
Da indi in qua m'incominci'o apparere...*

— Ależ Basieczko...—przerwała tamta, w zdzi-
wieniu wielkiem oczy otwierając szeroko.

Dziewczyna jednak zdawała się nie słyszeć,
i znów, kart kilka przewróciwszy, czytała:

*Amor ed io sì pien di maraviglia,
Come chi mai cosa incredibil vide,*

*Miriam costei quando ella parla o ride
Ché sol se stessa e null' altra somiglia.
Dal bel seren delle tranquille ciglia...*

— Ależ, Basieczko! — powtórzyła Dobra mo-
cniej, rękę swą od uścisku uwalniając. — Czyż nie
wiesz, żem ja prostaczka? Na włoszczyźnie tyleż się
znam, co na hebrajskim języku!...

— Ach żałuj! żałuj! — wykrzyknęła Basia, ksią-
żeczkę zamykając. — Włoski język to nie mowa, to—
śpiew! Posłuchaj tylko jak brzmi to jedno słowo:
amor!... aaa-moor!

— Toć chyba nie lepiej niż nasze „kocha-
nie...”

— Al! wiesz zatem, co słowo to znaczy?

— Z łaciny-m doszła. W modlitewniku moim
często się *Amor Dei* powtarza.

— I łacina piękna. Zda mi się zawsze, że do
Pana Boga mówić można tylko po łacinie; po wło-
sku zaś tylko do... do...

— Do Giana!

Dziewczyna zapłoniła się ponownie, usta jej
skrzywiły się jakimś grymasem niechętnym.

— Ech! — odparła niecierpliwie — nie to miałam
na myśli... Rzec chciałam poprostu, że do pieśni na-
bożnych najlepsza łacina, a do pieśni... świeckich ję-
zyk włoski. Cudne tworzył rymy Kochanowski —
a przecież pieśń jego nie głaska mię po sercu tak
mile, jak sonet lub canzona Petraraki...

— Ja ci zaraz rzekę dlaczego.

— Mów.

— Tamte pieśni czytałaś, gdyś dzieckiem była;
te czytasz, gdy już duża z ciebie pannica. Niechby

jednak i dziś jeszcze Kochanowskiego zaśpiewał ci Juruś, na lutni pobrzękując i słodko w oczy patrząc, wnet-byś pewnie słodkość ich poczuła...

— Ty mi zawsze o tym Zawiślaku!

— Wolałabyś o Baldim?

— I na Baldim świat się nie kończy!

— Innych nie znasz...

Basia do połowy oczy przymknęła i długie, rozmarzone spojrzenie w błękicie letniego nieba utopiła.

— Ten, którego ja znam—mówić, jakby do siebie, jęła—z barw jest samych i blasku... Tak barwny jak zorza poranna, a jak słońce wschodzące tak świetny!... Objawił mi się niedawno—w pieśniach Petraraki mi się objawił... Odtąd nie mam już spokoju i tęsknoty na mnie przychodzą, jakich wprzód nie znałam... Nieszczęśliwa jestem, a do szczęścia dawnego wrócić-bym nie chciała... Dziś zaszłaś mię płaczącą—ja często teraz płaczę... Nieraz po nocach łzy wylewam, a rzec-bym napewno nie umiała, czego w nich więcej: bólu, czy rozkoszy?... I zawsze, gdy taka żalność słodka na mnie przychodzi, wyobrażam sobie, że lada chwila *on* przy boku mym stanie, słowami pieścionem zagada i tęsknoty wszystkie rozproszy...

Westchnęła, zamyśliła się, w marzeniach swych zatoneła...

— I cóż ty na to, Dobruniu?—spytała wreszcie, do obecności wracając.

Dobra przez cały ten czas wpatrywała się w przyjaciółkę z natężoną i niepokojem zaostrzoną uwagą. Na zapytanie nic nie odrzekła, tylko głowa pokiwała znacząco.

Basia ruch ten podchwyciła. Na pobladłem jej licu odmalowała się trwoga.

— Dobruniu! siostró!—zawołała, za obie ręce towarzyszkę chwytając.—Przerażasz mię, przyjaciółko moja! Starsza jesteś i życia lepiej świadoma; powiedz: może myśli moje grzeszne są? może nie od Boga idą?...

Dobra pomyślała chwilę nad odpowiedzią.

— Nie wiem — rzekła poważnie.—To wszakże pewna, że nie z nabożnej wzięłaś je książki...

Tamta zasepiła się bardziej jeszcze.

— Dobruniu, ja się boję!...—szeptała, do przyjaciółki się tuląc. — Przy każdej modlitwie wątpliwość mię napada: jestem-że tą samą, co dawniej? Bywam niekiedy jakby nieprzytomna... słów modlitwy zapominam... Czyżby mię łaska Boża odstępowała?

Drżąc poczęła całem ciałem i głowę na pierś przyjaciółki skłoniła.

— Może to czary? Może urok na mnie kto rzucił?—wyjąkała nagle głosem zmienionym.

Dobra ucałowała ją czule i do serca przycisnęła.

— Czary to są niezawodnie—z naciskiem rzekła.—Ale na nie nikt nie poradzi.

— Może astrolog?

— I to nie...

— Jakto? nikt na świecie całym?

— Tegom nie rzekła. Poradzi człowiek, który czary sprowadził. Człowieka tego znam...

— I któż nim jest, Dobruniu?

— Ten, kto ci książkę ową podarował...

Ciche, do gołębih podobne łkanie, było jedyną na te słowa odpowiedzią.

.

Sercowa sprawa Giana rozwijała się coraz pomysłniej.

Odkąd Mejerin (sama, we własnej osobie, Mejerin) zestąpić raczyła z wyżyn dworskich na padół rynku staromiejskiego, i jako siostra bratwna (z bractwa Różańcowego) nawiedziła ciocię Ofkę w jej własnym mieszkaniu, zaszła widoczna odmiana w stosunku całej rodziny Szeliągów do młodego włocha.

Stosunek ten rzec-by można: rozgrzał się...

Śpiewak królewski, zamiast zimnej atencji, spotykał się teraz z ciepłą serdecznością. Traktować go poczęto nieco poufalej, ale za to o wiele życzliwiej. Już nie gościem był i nie cudzoziemcem, ale za swojaka go uważano i prawie za domownika.

Stryj Jan, dotąd dość włochowi niechętny, nabrał nagle upodobania do długich z nim dysput. Giano władał biegle łaciną, a i w polskiej mowie duże czynił postępy. Widział i umiał wiele, przedmiotu więc do rozmowy nie brakło. Stary ławnik najchętniej kierował ją na sprawy publiczne: na urządzenie republiki weneckiej, na stosunek Doży do Rady dziesięciu i t. p. Młodzieniec na wszystko umiał dać trafną i wyczerpującą odpowiedź.

Stryjek Basi bródkę siwą głaskał, pod wąsami się uśmiechał, a potem na osobności mówił do siostry:

— Ho, ho! Baśka szczęście ma... Chłopak se-tny; do tańca i do różańca... Nie znaleźć takiego między mieszcankami!...

A pocierając w zamyśleniu wygolone czoło, dawał smętnie:

— Gdybyż nie włoch!...

Ofka wówczas śpieszyła z obroną.

— To i cóż! Katolik jest — i to dobry katolik. W Rzymie był, do Loretu pielgrzymował, z Ojcem świętym gadał, jak ja tu oto z tobą. Włosienicy zażywa — i biczowania...

Brat milczał, nie przecząc, ale i nie przytwierdzając.

Zarzut to był w stronę Jura skierowany.

Stary Szeliga poruszył się niecierpliwie.

— Pani siostra — z przekąsem rzekł — zawsze Zawiślakowi przeciwna!

— Bo nie lubię, panie bracie, młodzianków bezbożnych i gwałtowników! — z naciskiem dodała.

Ławnik nosem czmychnął z wyraźnym niecierpliwością.

— Powoli... powoli... — wyrzekł przeciągle. — Nigdy z sądem potępiającym zbyt kwapić się nie trzeba. Co do bezbożności Zawiślaka, plotka to może być ludzka, nic więcej. A że się raz jeden krewkością uniósł, to i cóż? Młody jest. Wreszcie, gdyby naszej Baśki nie kochał, nie przyszłoby do tego...

— Piękne mi kochanie — odcięła stara panna — co do wieży prowadzi, między podpalaczy i opryszków! Już to gdy kto w religii nie twardy, to i w honorze wart mało!...

Szeliga poznał, że niewiasty nie przeprze. Zamilkł więc i tylko laską okutą po posadzce ją stukał.

— A czy pan brat wie o wielkiej nowinie? — rzekła tamta w rozpromienieniu nagle. — Panna Urszula mi ją w tajemnicy głębokiej zwierzyła. No, wina ta warta, by za nią oddać wszystkich Zawiślaków, z nabożeństwem ich i statecznością!

— Cóż takiego? — spytał podrażniony nieco ławnik.

A siostra mu wówczas do ucha samego:

— Oto król nasz najmiłościwszy dla ulubieńca swego chowa w zanadrzu — indygenat...

Stary mieszczanin na stolku podskoczył.

— Mejerin to mówiła? — wykrzyknął z twarzą rozplamienioną — Do pani siostry mówiła?

— Mówiła — i jeszcze dodała: *sub conditione* związku małżeńskiego...

Szeliga wytrzymać nie mógł. Porwał się ze stolka i do siostry przypadłszy, pomarszczoną jej rękę pocałunkami okrył.

— A! — mówił jak w odurzeniu — splendor! splendor niesłychany!... Ta Baśka to do szczęścia stworzona!... Co powie Balcer, jak powróci!... I to Mejerin mówiła!... Dobry ten król! niech łaska Boża zawsze z nim będzie!... A tego Giana jakże-bym chciał uścisnąć!... Klejnot! klejnot szlachecki!... No, szczęśliwa Baśka! dalibóg szczęśliwa!...

Gdy się brat Jan uspokoił, siostra Ofka usiąść mu przy sobie kazała i oboje o przyszłym związku bratanki poważnie jeli rozmawiać.

Rzecz to już była postanowiona. Wysłannica królewska grunt przygotowała, a Baldi zjednął sobie ciotkę i wkraść się w łaski stryja. Wczoraj właśnie deklarację swą złożył — tymczasem *privatim* z uwagi na nieobecność rodzica, potem ją wszakże powtórzyć miał formalnie z dziewosłębami i oracją właściwą.

Z chwilą, gdy stryj ostatnich skrupułów się pozbył, sprawę można było uważać za skończoną. Po-

zostawała już tylko drobnostka: zgoda rodzica — no, i przyzwolenie panny.

Powrotu Balcera spodziewano się za miesiąc. Ostatnia wiadomość od niego nadeszła z Wenecji, dokąd na własnym okręcie zapłynął. Rodzeństwo postanowiło wyprawić doń pismo, które w porcie marsylskim znaleźć go miało. List natchniony przez Ofkę, a skomponowany przez Jana, miał przedstawić mu małżeństwo jedynaczki, jako wielkie szczęście na dom ich spływające. Sam zresztą argument: „Król tak chce“ nie pozwalał wątpić o pomyślnym skutku poselstwa.

O Basię najmniej się kłopotano. Nie były to czasy, w których-by młoda dziewczyna mogła być wolą swą przeciwstawić woli starszych. O miłości i sercu śpiewywano wprawdzie po dworach przy lutni, a u ognia obozowego przy bandurce, nikomu jednak na myśl nie przychodziło utożsamiać życia z piosenką.

Miłość poczynala się dla niewiasty dopiero po odejściu od ołtarza, nigdy wcześniej; o sercu zaś miano pojęcie, zgola do dzisiejszego niepodobne. Człowiekiem „wielkiego serca“ był wówczas taki, kto tego bił innych, a sam pobić się nie dawał. Mawiano też o „mężnem sercu“ niewiast, które bez lży jednej śmierci mężów swych lub synów dojrzałych przeniosły, oraz sławiono „wspaniałe serce“ magnatów, co fortunę całą kościołowi i nędzarzom oddali.

Stryjek Jan i ciocia Ofka, w najsolenniejszy wyraz twarze ubrawszy, kazali bratankę do siebie przywołać. Przywołanej „oznajmili“, że rękę swą

oddać ma szlachetnemu Gianowi Baldi, dworzaninowi królewskiemu i artyście.

Nagły błysk rozwartych szeroko oczów, purpura gwałtownego rumieńca, a potem zaraz wzrok wbity w ziemię i marmurowa całość twarzy bladeść, były na oznajmienie to odpowiednią.

Basia odruchowo (jakby dziś powiedziano) chwyciła się za serce i odruchowo również wypowiedziała myśl, na dnie duszy drzemającą:

— A Juraś?...

Ten jednak wykrzykownik zbyt milczeniem.

— Szlachetny Giano Baldi... — powtórzył uroczyście ławnik.

— Dworzanin Jego Królewskiej Mości i artysta o rozgłosnem imieniu... — dodała wyniosłe ciotka.

— Zaszczyt niemały — ciągnął stryj — domowi naszemu wyświadcza, bowiem...

Przerwała mu Basia. Dziewczyna, przypominając sobie, czy instynktem zgadując, co teraz „z roli” wypada, opiekunom swym do kolan się skłoniła — z płaczu nagłego wybuchem.

— Panie stryju! — wyjąkała — i ty, pani ciotko! pozwólcie mi przynajmniej ze słowem ostatniem na przyjazd rodzica zaczekać...

Podnieśli ją i ucałowali.

— Nikt niewolić cię nie będzie — rzekł stryj. — Skoroś jednak dziewczka już duża, a do stanu zakonnego inklinacyi nie masz, więc zapewne przeciwie się szczęściu własnemu nie będziesz. Usność tę gruntuujemy na rozsądku twoim — ile, że wedle statutu, dziewczkom już od trzynastej wiosny życia liczą się lata „dyskrejonalne.” A *Speculum saxonum* córce

mieszczańskiej wcześniej przyznawa pełnoletność niż szlachciance...

Basia patrzyła na stryja, niewiele rozumiejąc.

— Baldi — odezwała się ciotka, solenność o jeden stopień zniżając — młodzian jest na podziw gładki i rezolutny. Basieczka nasza nie sprzyjać-by mu nie mogła...

Ujęła bratanek pod brodę i w oczy jej spojrziała.

— Starej ciotce — szepnęła — prawdę wyznaczyć możesz. Miły ci ów włoszek, nieprawda?...

Basia milczała.

— Toć nie zaprzesz chyba, że każde przybycie jego radość ci sprawia, a każdą nieobecność dłuższą oplakujesz?...

W oczach dziewczyny odmalowało się zdziwienie — milczenia jednak nie przerywała.

— *Summa summarum* — rzekł stryj, niecierpliwie nogami szurając — gotowaś Baldiego za małżonka przyjąć?

I wzrok zimny, wzrok członka magistratury i karciciela nadużyć publicznych na siostrzenicę obrócił.

Basia wówczas ręce zaplotła, oczy spuściła, na anielskie lica wyraz bierności i rezygnacyi przywołała...

— Jeśli taka będzie pana ojca wola... — ledwie dosłyszalnym głosem szepnęła.

Rodzeństwo porozumiało się oczami. Oczy te mówiły: „sprawa skończona.”

Zaraz też Basi odejść dozwolono — poczem stryj Jan zajął się przygotowaniem i wysyłką ważnego pisma rodzinnego do brata Balcera.

W kilka wieczorów później Giano aksamitnym swym głosem odczytywał Basi sonety Petrarki.

Komnata pełna była zapachu czeremchy, której okwiecony wierzchołek z ogródka Szeligów do otwartego okna sięgał. Z ciepłym tchnieniem wiosennego wieczora nadpływała od Wisły tęskna pieśń fliśców—taka sama, a może nawet i ta sama, jaką się dzisiaj słyszy.

Dobruchna, przydana do towarzystwa narzeczonego, wyszła na chwilę, sprawami gospodarskimi wywołana. Prócz dwojga młodych, nikogo w komnacie nie było.

Basia, przesuująca w milczeniu palcami prawej ręki bogate manele, obciążające jej rękę lewą, odezwała się nagle głosem przyciszonym:

— Czy waszmość, panie Giano, tak samo miłować mię będziesz, jak ów poeta swą Laureę?

Włoch obrzucił ją spojrzeniem płomienistym.

— Stokroć więcej, *carissima mia!* — namiętnie wykrzyknął.

— O! więcej!—sprzeciwiła się dziewczyna.—Alboż to więcej miłować można?...

— Można, *idol mio!* I nie tylko można, ale trzeba. Petrarka nie dotkał nigdy ukochanej ni ręką, ni ustami—a my...

I wyciągnął ramię, aby otoczyć niem gibką kibić dziewczęcia.

Basia jednak uskoczyła na bok, z brwiami ściągniętymi, falującą piersią i zapłonionem, jak róża, licem.

— Mości Baldi! — wykrzyknęła. — Zapominasz, żeś mężem moim nie jest...

Zaczerpnęła powietrza—i dorzuciła ciszej, jakby do siebie:

— I że może nim nigdy nie będziesz...

Włoch pokrył zmieszanie uśmiechem miodowym. Wpół się zgiął i w kornym ukłonie rękę na sercu położył i oczyma prosił o przebaczenie.

W tej chwili zjawiała się z powrotem Dobruchna. W twarzy jej znać było troskę. Z miną strapioną podeszła do przyjaciółki i rzekła:

— Smutną wieść ci niosę, Basieczko. Juraś Zawiślak na pół roku wieży osądzony!

Basia zakryła twarz rękami i stała tak chwil parę bez ruchu. Potem przyjaciółkę za szyję chwyciła i główkę do piersi jej przycisnęła z jękiem stłumionym.

Giano mruknął *adio!* i za próg się cofnął — z brzydkim na ustach uśmiechem...

XI.

Dzieła nocy.

Noc była czarna jak smoła—bez gwiazd i bez księżyca. W przesmyku, wiodącym do Białej wieży — gdzie z jednej strony sterczał bok kamienicy Szeligów i ciągnął się parkan ich ogrodu, a z drugiej widać było (nie w tej chwili wszakże) szczątki muru, oraz budynków kilka bezkształtnych — stał człowiek, zdający się z tą ponurą nocą, niebem czarnem i czarniejszą odeń ziemią jedną tworzyć całość.

Człowiek ten stał tu od godziny, może od dwóch godzin i wpatrywał się z natężeniem w jeden punkt, który zresztą, jako atom ogólnej wszechciemności, nie był ani jaśniejszy, ani bardziej czarny od innych.

Kto widział kiedykolwiek myśliwego, zaczajonego przy jamie lisiej, temu-by niewątpliwie widok tego człowieka na myśl go przywiódł...

W punkcie, który do siebie uwagę czatownika przykuł, a który nawet za dnia w mroku się ukrywał, można było, przy pełnem świetle słonecznem, dojrzeć dwie rzeczy: krzak i cegiel kupę. Krzak był bezlistny, o suchych, rozczapierzonych gałęziach, któ-

remi cegły owe zasłaniał. Cegły stanowiły zrąb muru odwiecznego, który uprzętać zapomniano albo leniono się—bo wówczas śmiecie i gruz cieszyły się nierzadko przywilejem nietykalności.

Było już dobrze po północy. Ciemność rzadnieć poczyniała. Człowiek stał w miejscu, jak czata obozowa, niecierpliwości swej klątwami jedynie folgując.

W stronie lisiej jamy nic się nie pokazało — myśliwy przecie ze stanowiska nie schodził. Jasne dlań było, jak dwa a dwa cztery, że lis, który do nory wszedł, i wyjść też z niej musi...

Nagle czatownik ów niezmordowany rzucił się skokiem tygrysim w stronę krzaka i cegieł. Rozległ się krzyk jeden — głuchy, krótki, urwany. Zaraz potem słyszeć się dało szamotanie gwałtowne i na ziemię upadło coś ciężkiego, dźwięk metaliczny wydając.

Lis wyszedł z nory — myśliwy żywcem go chytał...

Przy odrobinie światła, które szło od rodzącej się na dalekim wschodzie zorzy, można było dojrzeć teraz dwóch ludzi, mocujących się z sobą. Obaj byli w płaszczach długich, faldzistych, które przy mocowaniu rozwiewały się jak żagle. W pierwszej chwili nie można było zrozumieć ani jednego ze słów prędkich, zadyszanych, jakie sobie podczas walki rzucali — wreszcie jeden zawołał wyraźniej, choć głos rozmyślnie hamując:

— Ha, trzymam na koniec i ciebie i tajemnicę twoją!...

Słowa te wypowiedziane były po włosku i wybiegły z ust myśliwego.

Lis w tejże chwili tonem najwyższego zdziwienia odkrzyknął:

— Giano!

I w miejscu stanął, jak wryty.

Tamten z chwili tej skorzystał. Szybkim ruchem sięgnął mu do boku i oderwał wiszący na łańcuszku sztylet. Lis pozbawiony został w jednej chwili pazurów...

— Teraz — rzekł myśliwy — gadać możemy z sobą jak przyjaciele.

Przy tych słowach zaśmiał się. Śmiech to był nieprzyjemny i lisa bynajmniej nie rozweselił.

— Chcesz mię zgubić? — jęknął ten ostatni, po włosku również. — Cóżem złego ci zrobił?...

— I zguba i ocalenie w twoich są rękach. Będziesz mógł wkrótce wybrać to lub tamto. Tymczasem podnieś z ziemi worek. Szkoda szlachetnego kruszcu, aby w prochu się tarzał. Przyda się on nam obu...

— Jaki worek? — wykręcać jął lis, obyczajem lisim. — Żadnego tu worka nie było...

— Brzękiem obecność swą zdradził!

— Przywidzenie! Mógł to być zresztą brzęk szkła, któreśmy stopami potracili...

Giano zaśmiał się ciszką.

— Ha! — z ironią rzekł — kiedy tak, to niechże ja sobie owo szkło na pamiątkę podejmę...

I schylił się ku ziemi.

Ale zanim ręką jej dotknął, już tamten na czworakach pełzał, zguby swej szukając. Ponowny brzęk był dowodem, że ją znalazł i podniósł. Zaraz też

wypróstownał się i skok potężny dawszy w ciemnościach, uciekać jął...

Na widok uchodzącej zwierzyny, myśliwy stanowiska nie opuścił. Trzymał on ją na nici mocnej acz niewidzialnej i nie obawiał się, aby mu się wymknęła.

— Do zobaczenia, mości Fabio! — zawołał w ślad za uciekającym. — Spotkamy się rankiem — na Ratuszu...

Lis zatrzymał się i gdyby nie ciemności, dałoby się z pewnością widzieć, że uszami strzyże i ogon pod siebie podtula...

Po chwili kamraci stali znów przy sobie.

— Czego chcesz odemnie? — mówił Fabio głosem cichym i żalosnym, w którym jednak drżała wściekłość tłumiona.

— Chcę, żebyś był dla mnie tym samym przyjacielem, co dawniej.

Tamten worek mocniej przycisnął i pomacał się po boku, gdzie przed chwilą jeszcze broń wisiała.

— Jestem nim — mruknął przez zaciśnione zęby.

— Przyjaciele nic przed sobą nie ukrywają...

— Bywa to czasem konieczne...

— Konieczność taka uśmierca przyjaźń.

— Czemuż jednak rodzić się ma z niej nienawiść?

— Nienawiść? Kto tu mówi o nienawiści?

— Alboż nie dążysz do tego, by mię zgubić?...

— Anim o tem pomyślał! Drażni mnie tylko tajemniczość twoja. Nie znoszę zagadek. Gdy jedną z nich w życiu napotkam, nie mam spokoju, dopóki jej nie rozwiążę. Owej nocy umknąłeś nam, jakby

za sprawą czartowską. Wróciwszy, nie umiałeś się po ludzku wytłómaczyć. Hola! — rzekłem sobie — jeśli mój przyjaciel bawi się w lisa, ja zabawić się mogę w psa gończego! No i, jak widzisz, tropilem tak dobrze, ażem wytropił...

— Giano! druhu mój! — tamten prosił płaczliwie. — Skoroś już ciekawość zaspokoił, zostaw mię w spokoju...

— O tem później!

— Ziomkowie jesteśmy — więcej niż ziomkowie! W tem mieście obcem jam ci ze wszystkich najbliższy. Rodzi nas nietylko kraj jeden, ale i jedno miasto. Ja tylko i ty pochodzimy z pięknej Wenecyi. Czyś zapomniał o tem, żeśmy nawet krewniacy? Wszakże twoja Teresina...

— Milcz! — syknął Giano, rzuciwszy się gwałtownie. — Milcz i strzeż się imienia tego wymawiać. Chyba, żeś śmierci żadny!...

— Milczę — ciągnął tamten. — O wszystkim milczę. Toć i ciebie nazywam Gianem, a nie...

Nie dokończył, bo mu dłoń Giana gardło ścisnęła i tkwiący w niem wyraz zdusiła.

Zaharczał i do ziemi przysiadł. Puszczony, zatonął się i przez chwil parę przyjąć do siebie nie mógł. Czas jakiś milczeli obydwa, ciężko dysząc — jeden z bólu i przestachu, drugi z wściekłości.

— Gadaj — odezwał się wreszcie Giano głosem zmienionym — duże masz *ztamtąd* zyski?

Fabio przeleknął do kolan mu się rzucił...

— Zabierz wszystko! — jęczał — ale nie gub mnie i nie zabijaj!...

— Głupi grajku! — rzekł Giano wyniośle. — Da-

rami twemi ja gardzę. Wezmę od ciebie, ile będę potrzebował, a potem oddam. Właściwie: nie oddam, ale w twarz ci rzucę — ze śliną pospół!...

Tamten podniósł się; wciąż jednak jeszcze pokorny i splaszczony. •

— Nie rozmyśliłem w to się wdał — mówił jakby nieprzytomnie. — Uciekając przed strażą, w loch wpadłem, którego ani znał, ani szukał... Loch doprowadził mię do *tamtých* ludzi... Miałem do wyboru: przystać do nich, albo zginąć... Ojciec oszczędzać kazał, zbierać — a z czego? Czy z tej kusej gaży dworskiej, która ledwie na przyodziewek wystarcza?... Dobrze, że sobie czerwieńców trochę uciulałam — kiedy nie stać na lepsze!...

Nagle oprzytomniał i kilka kroków w tył się cofnąwszy, śmiejąc nieco zapytał:

— Ale prawdę rzekłszy: co tobie do tego?

Giano pomilczał chwilę i odparł znacząco:

— Zaraz się dowiesz. Ale chodźmy ztąd.

— Słusznieś rzekł. Chodźmy.

Opuścili zaułek, który poczynają już zalewać atramentowe światło zorzy przedporannej. Ale zanim do Rynku doszli, niebo i ziemia znów pociemniały. Przecierający się wschód zaszedł napowrót chmurami. Jednocześnie mrzyć począł deszcz drobny a ciepły i mgła rozsnuła się w powietrzu.

Rynek tonął w mroku. Światła, które tu i owdzie przed figurami świętych płonęły, zdawały się gwiazdkami. Każdą z tych gwiazd otaczała aureola. Gmach ratuszowy przybierał w ciemnościach kształty niepewne a straszne. Smokowi był podobny i poruszać się zdawał. A uczipiona u szczytu latarnia

blyszczała krwawo i groźnie, niby smoka owego żrenica...

Choć nie było tu żywej duszy, Włosi skreśli w Krzywe koło, drogi nadkładając. Szli, potykając się, w pewnem oddaleniu od siebie i milczeli. Mimo ciemności, tak szczerlnie każdy z nich twarz płaszczem zakrywał, że mu z pod niego ledwie koniec nosa widać było.

Nie wyglądali już na zwyciężonego lisa i zwyciężkiego łowcę; raczej na lisów parę — stropionych.

Dopiero w bliskości klasztoru Giano odważył się usta odsłonić i ku mówieniu ich użyć.

— Więc pytałeś, co mi do tego! — rzekł, zatrzymując się pod ścianą domu naroznego od strony Dunaju. Na froncie tego domu mały kopcący kaganek oświetlał niewyraźnie płaskorzeźbę, wyobrażającą Łazarza przez psy lizanego. Był to najpierwszy „lombard“ warszawski.

Fabio. na którego trochę światła padło, miał twarz bladą, ale zuchwałą.

— Pytałem — odburknął — i pytam. Czyż dla tego, że z jednego miasta pochodzimy, masz być szpiegiem moim i dozorcą?...

Giano roześmiał się sucho.

— Donosicielem? — ciągnął tamten.

— Głupiś! co mi do ciebie! Tyle mnie obchodzi, co ten nagi żebrak nad nami!

— O cóż ci więc idzie?...

— O to — rzekł głucho śpiewak, ujmując ramię towarzysza w kleszcze długich, twardych jak z żelaza palców — że w danej chwili ty właśnie względem mnie stać się możesz tem wszystkim...

— Czem.

— Szpiegiem, dozorcą, donosicielem — czyli, w jednym wyrazie rzecz zamykając: zdrajcą.

Oczy Fabia zaokrągliło zdziwienie. Chciał coś powiedzieć, ale w tejże chwili Giano ramię jego puścił i spokojnym rzekł głosem.

— Dość już o tem. Spać chodźmy.

I pociągnął go w stronę klasztoru.

Na korytarzu, gdy już do komnat swych rozchodzić się mieli, śpiewak, lekko ziewając, rzucił jakby od niechcenia:

— Zapomniałem ci powiedzieć o nowinie...

— Cóż takiego?

— Żenię się...

I głową na pożegnanie kiwnąwszy, zniknął w drzwiach swojej celi, które się zaraz za nim zamknęły.

Fabio stał przez chwilę jak skamieniały. Twarz mu tylko to srożyła się, to uśmiechała, a usta coś niewyraźnie mruczały. Wreszcie w czoło się stuknął i zawołał:

— Zrozumiałem. *To równoważy tamto!*

XII.

Łańcuch, który, zamiast związywać, rozwiązuje.

I znów jesteśmy w tym samym, wyboistym, ponurym, do wąwozu skalnego podobnym zaułku. Zmierzch pada cichy, jasny, ciepły, owijając wszystko jakby w gazę jedwabną. Na dole, w wązkim przejściu Białej wieży straż pobrzękuje halabardami. Wzdłuż muru poszczerbionego kot się przesuwają. Po ceglach, głośno ćwierkając, skaczą wróble. Środkiem zaułka płynie ściek, niknąc nieopodal wieży, w otworze podziemnego kanału. Po bokach pełno śmieci i wszelkiego rodzaju odpadków. Na słomie pod parkanem wylega się pies prawie zupełnie pozbawiony sierści, a wychylające się z po za parkanu drzewo białym kwiatem nań sypie.

Furta od ogrodu Szeligów do połowy otwarta. Widać przez nią kawałek szpaleru, w szpalerze ławkę, na ławce dwoje młodych ludzi, oddzielonych od siebie całą jej długością.

To Szczerb i Dobruchna.

Młodzieniec w nowym, opiętym żupaniku, barwy cynamonowej, i w lekkiej na ramiona zarzucnej, a pod szyją na srebrną agrafę, zapiętej ferezyi, wygląda pięknie i zawadyacko. Wąsiki sterczą mu jak

u kota, nad czołem jeży się lisi czub tak zuchwale i wyzywająco, jakby światu całemu uragał. Lewa ręka junaka wspiera się na nieodstępny czekanie, prawa obraca w palcach różę płomienistą, która, od czasu do czasu, ku ustom się podnosi.

Jedno spojrzenie wystarczy, by poznać, że róża ta jest siostrą tamtej drugiej, która tak cudnie zdobi czarne włosy dziewczyny. Niezawodnie z jednego krzaka je zerwano; może nawet przed chwilą jeszcze w jednym miejscu tulili się do siebie serdecznie...

Dobruchny ubiór skromny jest, jak zawsze. Ale czarne oczy mają tyle blasku, kształtne wargi tak silnie się czerwienią, twarz, choć śladami ospy naznaczona, tak świeża jest i tak różowa, że od samego ich widoku ciepło się robi w sercu. Co po kupnych strojach, gdzie młodość i zdrowie skarby swe sypią zadarmo!

Zresztą krewniaczka Szeligów nie ma w sobie śladu zalotności. Oczy jej patrzą spokojnie, a uśmiech, jeśli jest rozkoszny i wabny, to dlatego tylko, że innym być nie umie...

Młodzi mówią o uczuciach — nie o swoich wszakże.

— Więc jeszcze nie „amen?“ — pyta Szczerb, końcem czekana w piasku wierząc.

— Chwała Bogu, daleko jeszcze do niego — przytwardza z zapalem Dobra.

— Ba! rzecz to czasu tylko...

— I czegoś więcej także. Najpierw stryjka Balcera nie spodziewać się rychlej jak za dwie, trzy niedziele. Powtóre... powtóre...

— Bodaj, że tu niema żadnego „powtóre!“

— Otóż jest. Powtóre, że Basia słowa wyrażonego nie dała.

— Mogła je była pomysleć....

— I nie pomyślała także. Pewna-m tego.

— Waszmościanka w myślach jej czytasz?

— Czytam. A nie potrzeba do tego czarodziejstw żadnych. Ja myśli nie ze słów poznaję, jeno z postępków.

— A jakżo ono pieścidło wychuchane postępuje!

— Dziwnie. Płacze i wzdycha. Czasem przed obrazami się modli, to znów na belwederku siada i nic nie mówiąc, w niebo tylko patrzy a patrzy.. Najczęstsze u niej przecie: lutnia i ksiąg włoskich czytanie...

— Grajek pewnością je znosi?

— Tak, ale ona między niemi wybór czyni. Teraz przerzuciła się nagle od świeckich do nabożnych. Dawniej wysławiała Petrarke, dziś rozplywa się nad Franciszkiem z Asyżu.

— Tyleż wiem o jednym, co o drugim!... — mruknął junak do siebie.

— Na pamięć się uczy jego „Kwiatczków“...

— Ba!

— Ale dziś znowu smak jej się odmienił. Cały ranek molestowała ciotkę o Tomasza à Kempis...

— Świętego jej się zachciało?

— Właśnie. To jest nie osoby jego, ale księgi. Wiesz waść — tej... *De contemptu mundi*, albo inaczej: *De imitatione Christi*...

— Hm... Anim przypuszczał, że święci księgi pisują... Cóż to ma jednak oznaczać?

— Na mój rozum, jest to dwóch rzeczy znakiem. Pierwszej, że Basia myśli o kimś, wzdycha do kogoś i sprzyja komuś. Drugiej, że tym kimś nie jest Giano...

— Więc Jur?

— Tak-by należało. Obawa tu wszakże zachodzi jedna — wagi nicmałej... Gdy Jurasia nie będzie, włos miejsce jego zajmie...

— Otóż to! Trzeba-ż więc Zawisłaką sprowadzić, a tamtego odsunąć...

— Łatwo to rzec. Ale sposób?

Szczerb na tył głowy odrzucił kołpaczek, czoło srodze namarszczył i trzeć je począł. Natężenie myśli z trudem mu przychodziło.

— Ba! — rzekł wreszcie uradowany. — Sposób jest — i gładki...

— Jakież?

— Włocha w łeb i do Wisły, a Wieżę podpalić, by Jurach drapnął!

Dziewczyna zwróciła nań oczy zdziwione.

— Waści żarty się trzymają... — rzekła.

— Co zaś! — odparł urażony. — Nie do żartów mi. Chcesz waszmościanka? — pójdę zaraz, i com rzekł, zrobię! Jakem Szczerb!

Wstał z ławki, do odejścia gotów.

Dobra spojrzeniem go zatrzymała.

— Ja wiem sposób gładszy — rzekła.

— Ciekaw go jestem.

— Mówiłeś waszmość, że on nieboże robotą się zabawia?

— Łańcuch wykuwa. Ale jaki łańcuch! na szyję króla chyba — albo królowej!

— Właśnie-ż w tem rzecz. Najmiłościwszy nasz pan artystą jest i w kunsztach się kocha. Giana wypuścił za to, że śpiewa cudnie — czemuż-by nie mógł

postąpić tak samo z Jurasiem, który jest mistrz w złotnictwie?...

— Hm... bez urazy waszmościanki... mój sposób gładszy. Gładszy i prędszy!

— Zatrzymamy go w zapasie. Tymczasem waszmość łańcuch mi ów przynieś.

— Chciałażbyś waszmościanka sama z nim iść do króla?

— Nie; do królewskiego złotnika tylko.

— Do Redura?

— Tak. Przyjaciół to stryjków, a i Zawisłakom przychylny.

— Ha, pomagaj Bóg! U Jura będę i łańcuch przyniosę. A teraz pora już mi odejść.

Podniósł się z ławki i ferezyę na sobie obciągnął, a wąsy rozczapierzył.

Dobruchna nie wstawała. Ze spuszczonej oczyma, z twarzą nagle posmutniała, szepnęła cicho:

— A o sobie nic-że mi waszmość nie powiesz?...

— O sobie? — zadziwił się Szczerb. — Alboż to we mnie jest co ciekawego? Rodzic mój uszy zatyka, gdy mu o synu mówią — cóż dopiero obcy!

— Jabyś przecie dowiedzieć się czegoś rada. — Choćby o trzech garściach owych... — dodała weselej niby, do uśmiechu się zmuszając.

— Ano — odrzekł w tymże tonie Szczerb — garść ostatnia przedstawia w tej chwili podobieństwo do mnie: jest na wychodnem...

— Kończy się?

— Tak nawet jakby już się skończyła.

— Cóż będzie?...

— Dobrze będzie. Pan Lisowski werbunek urzą-

dza: pójdę i ja za innymi. W pułku czerwienice niepotrzebne.

Dziewczyna bardziej jeszcze posmutniała.

— Rzucić chcesz waść Warszawę? — szepnęła.

— Mamże czekać aż ona mnie rzuci?

— I... i... — wyjąkała z trudnością, jakby jej coś w gardle przeszkadzało — cknąć się waszmości nie będzie?

— Hej! — wykrzyknął raźnie, z oczyma błyszczącymi — w polu, na twardej kulbace, nikomu się nie cknąć!

Dobra wstała w milczeniu i w milczeniu pożegnania młodzieńca przyjęła. On, rękę jej całując, w oczy chciał spojrzeć, ale mu je schowała. Nie stracił rezonu i rzekł jeszcze:

— Jakby z łańcuchem zawiodło, to... jam gotowy!

Odszedł szybko z głową podniesioną, z ruchami junackimi. Nagle jednak, przy furcie już samej, zawrócił. Ku Dobruchnie, w jednym miejscu wciąż stojącej, pobiegł, i rzekł spiesźnie:

— A com mówił, że mi się cknąć nie będzie, to... nieprawda.

I spieszniej jeszcze wybiegł z ogródka.

Niewiasty miewają często szczęśliwe natchnienia. Nie upłynęło tygodnia, a już cudny ów łańcuch, wykuty, albo raczej wypieszczony przez Jura, znajdował się w rękach królewskiego złotnika.

Reduro, człowiek skryty, milczący, a może i zawistny nieco (i między mistrzami to się zdarza), obejrzał dzieło kolegi z uwagą, najpierw gołym okiem, potem przez szkła powiększające, lecz o wartości jego ani słowa nie rzekł. Chowając klejnot do szkatuły dębowej, mruknął:

— Dobrze. Jutro Najjaśniejszy rzecz tę zobaczy...

Gdy nazajutrz rozwieszono przed królem ów majstersztyk, którego każde ogniwo co innego wyobrażało, ukoronowanemu dyletantowi powieki drgać poczęły. Był to jedyny znak wzruszenia na tej twarzy woskowej...

A jak na toż, zbierał się właśnie król w tym czasie małżonce swej dar piękny ofiarować, w nagrodę za ostatniego synaczka. Postanowienie jego szybko dojrzało; głową kiwnął przyzwalająco i rękę po klejnot wyciągnął.

Przesuwając między palcami ten fantastyczny różaniec kwiatów osobliwych, ptasząt rajszych, anielskich główek i t. p., pytał o artystę, który go wyśnił i w kształty zaklął.

Reduro wymienił nazwisko...

Okazało się, że królowi Zawisłacy obcy nie byli. Ze starym naradzał się nieraz nad modelami naczyń świętych. O talencie młodego również coś był zasłyszał.

Wówczas mistrz nadworny, w imieniu starej matki Jura, a i swoim też (boć braćmi byli w sztuce), do stóp monarchy suplikę pokorną złożył. Czyż godzi się, aby młodzieniaszek tak zacny jedną chwilę krewkości półrocznem zamknięciem opłacać miał? A jego matka sparaliżowana za jakież winy pokutę taką cierpi?...

Król wysłuchał, oczów od arcydzieła trzymanego nie odwracając, potem rzekł krótko:

— Marszałka tu prosić.

Wynik tej konsultacji niedługo dał czekać na siebie. W kilka dni później zamkniętemu w Wieży

okragłej Jurowi przyniesiono sto dukatów w woreczku z herbem Wazów, a staroście rozkaz natychmiastowego wypuszczenia młodzieńca na wolność.

Tegoż dnia wieczorem Jur, płacząc z radości, klęczał u kolan matki swej, w dworku na Podwalnej. Staruszka (przed którą prawdę zatajono) witała syna, jako z dalekiej drogi wracającego. I ona miała łzy w oczach, a pochylając się nad jedynakiem, drżącym głosem mówiła:

— Dobrze-ś, synusiu, zrobił, pospieszywszy... Matkę twoją czeka wkrótce dalsza jeszcze droga — cóż byłoby, gdybyś się z nią nie pożegnał?...

Potem przyszła kolej na sprawy domowe, które pod niebytność Jura bardzo upadły. Pieniędzy na gwałt było trzeba...

— Ale łaska Boża z nami — zakończyła utyskiwania. — Dziś właśnie o zmierzchu cudzoziemiec tu był jeden i robotę zamówił. Robota nie powszednia na sto dukatów...

— Magnat to być musi... — zauważył młodzieniec. — A robota-ż owa jaka?

— Łańcuch białogłowski, kanak ze złota szczerzego. Kamieni żadnych nie chce, ale robota ma być naschwał misterna. Ogniwo każde, mówił, co innego niech wyraża. Ozdób żadnych, jeno kwiatki, ptaszęta i główki anielskie...

— Kanak białogłowski... kamieni żadnych... kwiatki, ptaszki i aniolki... Ależ to kropla w kroplę łańcuch, jaki król wzięt dla królowej!...

— Właśnież i on to mówił. Podobien ma być zupełnie królewskiemu...

Jur głową pokręcił, dziwiąc się.

— I któż on zacz? — spytał.

— Przejedny jakiś. Szwed pono. Z samym nie gadałam, jeno z dworzaninem jego, który polskiego języka uczony...

— Ha! — wyrzekł Jur, pomyślawszy trochę. — Szwed, nie szwed — dukatami płaci, robotę wziąć trzeba. Czerwieńce przydadzą się, nieprawda matko?

— Oj prawda! — przytaknęła.

— Wreszcie, pamiętać nie zawadzi o tem, czego w szkole uczono. *Labor omnis vincit improbus...*

Zawiślakowa westchnęła...

— Nieraz-em to od rodzica twego w złych okazyach słyszała... — głosem wzruszonym rzekła.

— Ha! prawda w tem tkwić musi.

Młodzieniec poweselał. Po izdebkach niskich kręcił się, rzecz każdą brał do ręki, długo niewidziane kąty opatrywał. Matka mówiła o tem, o owem — on na wszystko odpowiedź miał wesołą i otuchy pełną.

— Cóż Szeliżanka? — zagadnęła wreszcie. — Dawno mnie już o niej wieść żadna nie doszła. Będzież z mąki tej chleb?...

To go odrazu z tonu zbiło.

Nic nie odrzekł, ale wraz zposepniał, na ból głowy i na niewywczaś skarżyć się począł...

Niebawem też matkę na dobranoc ucałował i spać legł.

A nazajutrz, o świcie samym, siedział już na górze zamknięty i nad kanakiem zamówionym pracował.

XIII.

Dalsze ogniwa tego samego łańcucha.

— Zapisali się już: Zuzel, Krzywoszewscy obydwaj, z Konopiaków jeden...

— Starszy!

— Nie, młodszy. Dalej: nowomieszczan pięciu, Gajda ze starostwa, kalikator od Świętego Ducha, kuśnierz Kot, co mu żona i dziątek dwoje pomarło, pogorzelców kilku z Rybitwy, płatnerz jeden, cyrulików dwóch. Jandrzych Szafranec kwapił się za innymi, ale go nie przyjęto, bo koślawy i żółtego włosa...

— I kiedyż pod chorągiew stajecie?

— Jak skoro zapis dziesięciu secin dosięże? Za dwie, trzy niedziel.

— Munderunek dają?

— Ladażaki. Konia dostać można, choć lepiej mieć swojego. Uprząż prosta: siodelko krótkie, wędziło małe a mocne. Strojów i błyskotek ani poświeć. Żelaza tyle tylko, co na szabli i pod kopytami końskimi.

— A zbroja?

— Właśnież w tem rzecz: nic, coby ciężyło. A więc ni pancerza, ni tarczy, ni przyłbicy, żadnych też blach na konia, naramienników i nagołenników...

— To was, niebożęta, rozsiecza!

— Nie stoimy o to. Śmierć, to śmierć. Nie darmo przecie „straceńcami“ nas zowią...

— Chyba-ć wam żywot niemiły...

— Prawie. Jedni radzi-by go pozbyć się, jak brzemienia, co uciska; inni nie mają go za jaje... Komu mięko a słodko, do pana Lisowskiego nie idzie. A kto idzie, wie, co go czeka. Śmierć? — wielkie rzeczy! Koziołek z tej strony na tamtą.

— Mędrkować, widzę poczynasz...

— Zgadłeś, robi się ze mnie *philosophus*. Na tym świecie trzeba mieć jedno z dwojga: czerwienice albo filozofię. Komu zbywa i na tem i na tamtem, pogardy godzien. Ja pierwszy w oczy mu napluję — jakem Szczerb!

Junak wstał przy tych słowach, ramiona rozłożył, przeciągnął się i przeraźliwie ziewnął.

— Nie pójdziesz na wino? — rzekł do towarzysza, który przez cały czas rozmowy nad warsztatem swym garbił się, młotkiem stukał, pilnikiem tarł, metal topił i spajał. — U Agły nasi się zbierają. Huczek tam teraz ciągly, od rana do wieczora.

— Wiesz, że nie wychodzę — odrzekł Jur. — Matka prawie że konająca, a prócz siostry zakonnej, niema przy niej nikogo. Przytem łańcuch ten przeklęty na gwałt wykończyć muszę. Szwedzisko codziennie nasyła pokojowca, o pośpiech nagłąc. Dziś na wieczór robota ma być gotowa. Inaczej sto dukatów przepadnie...

— Racya jest. O Szweda mniejsza, ale dukatoin szacunek się należy.

Młody złotnik odłożył narzędzia, na rękę wsparł się i wzrok smutny w przestrzeń posłał.

— Jeden jest jeszcze powód, dla którego w domu więzić się wolę — rzekł smutno. — Ty go znasz. Oto lękam się spotkania z wrogiem swym — i z nią. Marszałkowi słowo-m dał, że zwady unikać będę. A i jej wolę tymczasem nie widzieć. Dopiero gdy stary Szeliga powróci, dowiem się, com wart i co życie moje warto. Słowo rodzica losy moje przeważy.

— Może same one rychlej się jeszcze przeważą... — mruknął Szczerb, czapkę nakładając i wychodząc.

Po odejściu towarzysza Jur pracował ze zdwojonym zapałem. Pot występował mu na czoło, siły słabły (nocy kilka przy chorej matce bez snu przepędził) — nic go jednak zmódz nie było w stanie. Drżącą ręką spajał ogniwa, słabemi płucami w dmuchawkę dał i złoto mialkim proszkiem ostatecznie wygladzał.

Z dołu dochodziły jęki chorej matki. Starał się ich nie słyszeć, bo lękał się opóźnienia w robocie. Mimo to każdy z jęków owych, jak żądło gada, w serce mu się wpijał... Wreszcie, już o zachodzie słońca, podniósł się ze stolka, plecy zgarbione wyprostował i, jak człowiek pozbywający się wielkiego ciężaru, z głębi piersi odetchnął...

Łańcuch był skończony.

Obejrzał go raz jeszcze, okurzył, odmuchał, potem do szkatułki zawczasu przygotowanej schował i zeszedł na dół.

Matkę zastał dogorywającą. Spoczywała w swem krześle poręczowem, wypreżona, sina, z odkrytem ramieniem, na którym astrolog znaki kreślił kabalistyczne.

W kącie, przy okiennicy do połowy odemknionej, zakonnica czytała w głos modlitwy.

Ledwie miał czas klęknąć u stóp staruszki i kilka słów pociechy szepnąć, wbiegł famulus z wiadomością, że Szwed ze sługą swym po robotę zamówioną przybyli.

Wyszedszy do pierwszej izby, spostrzegł cudzoziemca, który, jakby umyślnie, w najciemniejszy kąt się zasunął. Skłonił mu się w milczeniu, podał szkatułkę i do lampy sięgnął, aby ją zapalić.

Szwed powstrzymał go gestem...

— Pan mój — rzekł sługa — czy ma chore. Blasku mocnego nie znosi...

Pozostano więc w półmroku.

Gość szkatułkę otworzył i z łańcuchem w rękę przystąpił do okna. Wysoki koltierz płaszcza i nasunięty na oczy beret, którego wchodząc nie zdjął (uchodziło to wówczas — szlachcicowi zwłaszcza w gościnie u plebejusza), maskowały go całkowicie. Trudno było nawet zgadnąć: młody jest, czy stary?

Przy słabem świetle — tem słabszem, że tuż na przeciw mur wznosił się obronny — obejrzał uważnie łańcuch, każde jego ogniwo palcami długimi obmacał. Nie wiadomo, co twarz jego wyrażała, ale oględziny skończywszy, kilkakrotnie kiwnął głową w sposób wyrażający zadowolenie.

Zaraz też słudze swemu zlecił coś półgłosem.

Sługa dobył z pod łosiowego kaftana trzos tego wyładowany i wykladać ją na stół dukaty. Dukaty te błyszczały mocno, jakby je przed chwilą dopiero z pod mincarskiego stempla wyjęto.

Gdy już setka była ułożona, Jur zbliżył się do

stółu, pieniądze zliczył i do mieszka zgarnawszy, w kieszeń schował.

W tej chwili gość, stojący wciąż przy oknie, skinął na sługę i głosem przyciszonym długo mu coś prawił. Prawiąc, na łańcuch raz po raz wskazywał.

— Pan mój — rzekł sługa, do Jura się zwracając — zapytuje, czy na zapince łańcucha można jeszcze liter kilka wyryć?

— Można odpowiedział młodzieniec. — Tu oto papier i inkaust; niech pan twój siądzie i litery owe napisze.

Gość żądanie spełnił.

— G. B. i B. S. — przeczytał Jur, obojętne spojrzenie na papier rzuciwszy. — Czy litery wyryte być mają w tym porządku, jak je napisano? — spytał.

Sługa, porozumiewszy się z panem, pośpieszył z objaśnieniem:

— Pierwsze dwie mają być w parze i drugie dwie w parze. Następnie obie te pary łączyć się winny ze sobą tak, aby jedną całość tworzyły.

— Dobrze wyrzekł młodzieniec i raz jeszcze na papier spojrział.

Ale w tej chwili myśli mu straszna przez głowę przebiegła...

— Cóżto? — mruknął do siebie, czoło ręką pocierając. — Najpierw G. i B., potem B. i S. — Czyżby?... Ależ tak, do pioruna! — krzyknął nagle, w stół pięścią uderzając; G. i B. to znaczy Giano Baldi; a B. i S...

Nie dokończył i z ręką do góry podniesioną na cudzoziemca się rzucił.

Ale cudzoziemiec i sługa jego za progiem już byli.

Wybiegł za nimi, jak wściekły, i zębami zgrzytając, gonić jął uciekających.

W bramie Wiślanej, otwartej jeszcze, udało mu się pochwycić za płaszcz mniemanego Szweda. Płaszcz rozchylił się i z fałd jego wyjrzała suchotnicza twarz Fabia...

Zaraz jednak Włoch silnem szarpnięciem wyrwał się i pomknął pod górę, w stronę Rynku. Ludzie gęsto się tam snuli i tłok panował znaczny. W tłoku gonitwa była trudniejsza i Jur, pracą długą wycieńczony, uczuł, że już za uciekającym nie zdąży...

Wściekły gniew opanował młodzieńca, co bardziej go jeszcze osłabiło. W ostatnim wysiłku dotarł na odległość jednego tylko kroku od zbiega i korystając z okazji, cisnął węń, dobytym z kieszeni workiem z dukatami.

— Podły zdrajco! — krzyknął. — Kamratowi swemu to oddaj. Niech wie, że ja za sromotę pieniędzy nie biorę!

Dukaty rozsypały się z brzękiem po bruku. Zrobiło się zbiegowisko. Tłum z całego Rynku w miejsce to spłynął. Poczęto z krzykiem, popychaniem się i biciem mannę zbierać złotą...

W tejże chwili od Ratusza kilku sług miejskich nadbiegło. Jeden podjął mieszek skórzany i jął zgarniać do niego dukaty, inni drzewcami halabard popólstwo odganiałi. Nadszedł starszy jeden i dukat z ziemi podjawszy, długo mu się przyglądał z uwagą niezwykłą...

W zamieszaniu tem o głównych jego sprawcach do szczeru zapomniano.

Fabio i jego towarzyszy zniknęli na zakręcie, łańcuch z sobą unosząc.

Jur, osłabły i zemdlenia blizki, dowlóknął się do pierwszej z brzegu sieni, a we framudze ławkę znalazłszy, padł na nią bez czucia...

Rychło jednak przyszedł do siebie. Jakby go nagle iskra elektryczna przeszła, rozemknął oczy i drżącymi usty wyszeptał:

— Matka...

W chwil kilka później był już we dworku i całował zimne ręce — trupa. Astrolog umknął; zakonnica, świecami woskowymi umarłą obstawiawszy, modlitwy łacińskie mruczała. Jedna chwila przetworzyła dom cały do niepoznania. Wydawał się lochem zimnym, siedliskiem duchów i straszdeł...

Młodzieniec padł na kolana, oczy rękami zakrywając. Płakać jednak nie mógł. W formie gwałtownego pragnienia przebiegła mu przez głowę myśl:

— Jakby dobrze było znaleźć się teraz o sto mil ztąd...

Wstał i obowiązkami swemi się zajął. Famulus wystraszonego z kąta wyciągnął i po babę kościelną pchnął. Zakonnicy wydał rozporządzenia co do katafalku i klucze od szaf z bielizną doręczył. Wreszcie na górę wpadł, rozrzucone kosztowności i narzędzia do skrzyni zamczystej schował i zamknął.

Dopełniwszy tego, wyszedł, zataczając się, na ulicę.

Celu przed sobą żadnego nie miał. Wyszedł, bo wyjść musiał. Zmusiła go do tego siła wewnętrzna, nieprzeparta. Czuł, że gdyby siadł nieruchomo,

sam na sam z trupem, na pastwę myśli swych odany, pewnieby oszalał...

Noc była jasna. Ziemia kapiała się w drżących, niebieskawych blaskach. Górą płynął księżyc, niby kula srebrna.

Po krótkim namyśle, Jur skierował się ku miastu.

Bramę już zamykano, znajomi wszakże strażnicy przepuścili go bez trudności. Szedł pod górę powoli, usiłując zapomnieć o matce, o rywale swym, o hańbie, jakiej doznał. Udało mu się to chwilami. W trudnym tem zadaniu umysł silnego miał sprzymierzeńca — w gorąccze.

Zbliżające się otwarcie sejmu, napływ szlachty i zaciągi wojskowe znacznie ożywiły miasto. Już na Gnojnej, pod murem jezuickiego „Klasztoru”, natknął się na „towarzyszów” pijanych i na nietrzeźwych „ciurów.” Ci i owi zaczepiali go — mijał jednak zaczepiających, nie odpowiadając.

W rynku tłumniej było jeszcze. Tłumniej i hałaśliwiej. Służba senatorska wyrywała kamienie z bruku, zatykając kołki i kuchnie polowe budując. Wprawdzie nie zatarły się jeszcze ślady pożaru od kuchni takich wszczętego, ale o tem nikt z „urodzonych” nie myślał. Alboż żołądki szlacheckie nie miały większych przywilejów, niż mieszczańskie domostwa?

Śpiewano, śmiano się, kłócono. Co kroków kilka rosły, brzuchaty szlachcic, w żółtych butach, w czapie z czoła zsuniętej, z wąsami jak miotły, z czerwonym nosem i tego zalaną pałką, sękaczem się podpierając, a ciężko dysząc, płynął wśród tłumu jak korab. Wszystko mu z drogi ustępowało...

Towarzysze, pod ramię się ująwszy, chodzili środkiem, po pięciu, po sześciu, taczając się w lewo i w prawo i nikomu przejścia wolnego nie dając.

Co chwila przychodziło do krzyków, do zwady, do bicia się na pięście i na czekany. Węgry marszałkowscy w pocie czoła pracowali. Wieża Okrągła przepelniona już była „harezantami.” Zamykano ich teraz w Ratuszu, a niektórym nawet wójt dał gościnę w obszernych swych piwnicach...

Jurowi rozgardyaszył ten był na rękę. Oszłoł go. W głowie mu wirowało, w oczach go paliło, w piersiach piekło. Szedł jak pijany. Spotkał przyjaciół kilku, którzy na powitanie ramiona rozstawili. Wyminął ich, ręki nie podając. Wołali nań po imieniu — udał, że nie słyszy.

Przez godzinę może błąkał się tak, pozwalając fali ludzkiej, aby go niosła to w tę, to w ową stronę. W tym czasie wstępował kilkakrotnie do gospód jakichś, coś kupował, coś pił, ale wszystko to bezwiednie. Raz zamierzył się nań ktoś obuchem, to znów miodu szklanice na niego wylano — on tego wszakże ani czuł, ani widział.

Wreszcie, ulegając wciąż tej sile, nad rozwagę wyższej, która krokami jego kierowała, znalazł się niespodzianie — przed domem Szeligów.

W oknach od czoła ciemno było. W jednym tylko — w którym poznał okno ciotczynej komnaty — migotał słaby, a zabarwiony zlekka płomień lampki weneckiej. U mieszczan bogatszych lampki takie przed obrazami świętych wieszano.

Postał chwilę, w płomień ów się wpatrując. Potem skręcił w bok, gdzie ciemno było i cicho. Pod-

niósł oczy w górę: ściana cała, srebrem księżycowem zalana, wychodziła z ciemności jasno i wyraźnie, jak przy świetle słonecznem..

Bez trudności też dojrzał belwederek, kwiatami obstawiony, z którego drzwi szklane wiodły bezpośrednio do komnat niewieścich.

Spojrzał na belwederek i zaraz oczy odwrócił. Potem przetarł powieki i spojrzał powtórnie. Ze wzrokiem wyteżonym i rozszerzonymi nad miarę źrenicami stał przez czas długi bez ruchu, jakby go nagły przestrach okamieniał.

A jednak nie działo się tam w górze nic strasznego...

Na belwederku siedziała dziewczica o złotych włosach na ramiona rozpuszczonych i przepaską perlową spiętych.

U stóp dziewczicy klęczał młodzian w stroju włoskim i podniósłszy obie ręce do góry, zawieszał na jej szyi bogaty, złoty łańcuch.

Oto wszystko.

Jur, napatrzwszy się widokowi temu do syta, odetchnął głęboko i odszedł. Odszedł powoli, krokiem spokojnym i pewnym. Mogła być twarz jego przestrach wyrażać; w rzeczywistości strachu żadnego nie doświadczał. Przeciwnie: wszystko mu się zupełnie naturalnem wydawało...

I znów znalazł się wśród tłumu, zapelniającego Rynek. Huczało tu jak wprzód. Huczenie to przyjemnem mu było. Rozróżniał już teraz głosy i twarze znajome poznawał. Opuściła go zupełnie gorączka i jasnem mu się stało odrazu: dokąd i po co zmierza...

Nie przyspieszając kroku, ani go też zwalniając, skierował się prosto ku Ratuszowi. Minał żelazną „kunę”, ani spojrzawszy na osadzoną w niej za cza-ry szewczychę; minął szereg kamienic, których ciężkie drzwi z trzaskiem zamykano; minął budę, z której wystawały czarne miejskich hakownic paszce — i zatrzymał się dopiero przy ciemnym otworze, do lochów prowadzącym.

Głowę wytknął i przez chwilę nasłuchiwał. Potem nogę przez próg przełożył i po oślizgłych schodach śmiało na dół się spuścił.

W winiarni pana Agly-Abłanowicza hałas panował piekielny. Wesołość do dzikości tu niemal dochodziła. Rozmowy były wrzaskami, śmiechy ryczeniem, śpiew wyciem. Harmider ten jednak, pod ziemią rodzący się, w ziemi pozostawał. Przecho- dzący mimo ratusza słyszeli tylko głuche wrzenie — niby klekot gotującej się kaszy...

Była to główna kwatera „straceńców”. Młodzień i ludzie dojrzały, wykwintnisie i prawie nędzarze, warchoły i bohaterowie prawdziwi, w pstrem i niesforemnie zmieszaniu, fantastyczny obraz tworzyli. Karności tu jeszcze żadnej nie było — jak zwyczajnie pomiędzy ochotnikami. Cnoty wojenne dopiero pod chorągwią znaleźć się miały.

Jedni stali w gromadkach, żywo gestykulując i głowy zadzierając do góry; inni obsiedli stoły i pili a krzyczeli, za szyję się obłapiając. Kilku leżało na ławach pod ścianami, a bodaj że niejeden i pod ławą obrał już sobie leże...

W głębi izby, na miejscu najwidoczniejszym, ustawiony był stół, którego się tu dawniej nie widy-

walo. Stół to był prosty, z tarcie sosnowych byle jak zbity, na krzyżakach oparty. Leżała na nim papierów kupa i stał wielki jak maźnica kałamarz.

Za stołem siedział człek urodziwy, lat trzydziestu kilku, z podgoloną czupryną i pięknym, zawieszonym wąsem. Od pierwszego wejrzenia odgadywało się w człowieku tym osobę główną, dyrektora i reżysera całego widowiska. Przy nim i za nim stali ludzie różnego wieku z minami zadzierzystemi, i razem doń gadali. On słuchał z twarzą pogodną, na karcie przed sobą leżącej coś kreślił i co chwila parę z kubka srebrnego popijał.

Był to pan Aleksander Lisowski.

Jur wszystko to spojrzeniem jednym objął, rozróżnił i zapamiętał.

Drugie jego spojrzenie pobiegło w tłum, szukając Szczerba.

Znalazł go w najhałaśliwszej kompanii, wśród próżnych dzbanów i kubków powywracanych. W tej chwili właśnie, dwu kompanów za szyje trzymając, całował się z nimi w twarz i kłął, że życie za nich odda...

Jur poszedł prosto do przyjaciela i nic nie mówiąc, na oczach mu stanął.

— Wszelki duch!... — krzyknął tamten, nowych druhów puszczając. — Tyżeś to, melankoliku?

— Jak widzisz — odrzekł Jur smutno.

— Ależ wyglądasz... niech cię! Z tamtego świata chyba wracasz?

— Idę tam dopiero... — szepnął młodzieniec, tak cicho jednak, że go towarzysz nie dosłyszał.

— Gadałże: czego chcesz? — ciągnął Szczerb, z za stołu wylażąc i przemocą sadzając go na ławie. Tokaju ci dać? pinioly, petercymentu, seku? A może rywułę wolisz albo miód stary? Jest wszystko, czego dusza zapagnie, a brzuch i gardło wstrzymają!

— Chcę przystać do was? — rzekł Jur głosem drewnianym.

— Do was? Co to jest do was? Gadaj wyraźnie do kogo?

— Do waszej kompanii...

— Pijackiej?

— Nie, żołnierskiej.

Szczerbowi oczy się zaiskrzyły. Odsadził się, wasy zadarł i przez chwilę parę milcząc, mierzył towarzysza wzrokiem od stóp do głowy. Wreszcie przyskoczył doń, wpół go porwał i potężnym zamachem na stole postawił.

— Panowie bracia! — na całą izbę wrzasnął. — Oto nowy straceniec!

A w odpowiedzi wszystkie piersi huknęły:

— *Vivat!!!*

Ogniwo ostatnie.

W domu Szeligów wesoło.

W komnatach pierwszego piętra drzwi na rozcież pootwierane; wszędzie pełno biesiadników i służby. Festony z liści i kwiatów każdą ścianę zdobią; stoły błyszczą od mnóstwa naczyń srebrnych, a uginają się od obfitości jadła i napoju. Podłogę skropiono wonnościami i zieleń pachnącem potrząśnięto. Aż dusi od woni krzepkich, między którymi nie brak i drogocennej kamfory. Na szczęście odemknięto okna od ogrodu. Wpływają niemi fale świeżego powietrza i rozgrzane winem policzki rozkosznie muszczą.

W jednej z dalszych komnat gra kapela. Dźwięki jej, zanim o uszy biesiadników uderzą, cedzą się wpierw przez grube mury i opony fałdzyste. Daje im to lotność i subtelność, pozwala wnikać w każdy zakątek, nie głuszając rozmowy i nerwów nie drażniąc.

Do zachodu słońca jeszcze daleko, a już biesiada od czterech trwa godzin. Właśnie przed chwilą służba po raz piąty dania odmieniła. Przyszły na stół wety. W wielkich, srebrnych koszach przydzwiganym sterty owoców, zagranicznych przeważnie; z ostrożnością nadzwyczajną ustawiono piramidy ciasta słod-

kiego; podano krople, marcypany, bijaki, a także smażenia różne; miejsce zaś mocnych tokajów zajęły słodkie wina hiszpańskie i włoskie.

Zbliża się koniec biesiady, mający być zarazem początkiem właściwej uroczystości.

Balcer Szeliga jedynaczce swej zrękowiny wyprawia.

Powrócił on szczęśliwie z peregrynacji dalekiej, bogactw wszelakich zwiózłszy obfitość. Część ich, w porcie gdańskim z okrętu wyładowana, nadpłynęła już do Warszawy wodą; reszta, na wozach ciężkich, nadciąga powoli gdańskim traktem, przez sługi zbrojne eskortowana.

Uciecha wewnętrzna opromienia dostojne oblicze starego kupca, który przy stole największym ugaszczą od serca wybranych gości.

U stołu tego kupiectwo Starej Warszawy miejsca zajęło. Dużo tu twarzy cudzoziemskich, dużo czupryn trefionych, z głowami golonemi pomieszanych, wspólne jednak znamię powagi, statku i serdeczności upodobnia wszystkich do siebie, niby członków jednej rodziny.

Wszędzie błyszczą łańcuchy złote, sobolowe bramowania szat, zapinki z kamieni drogich i sygnety tak wielkie, że często knykieć zasłaniają cały.

Na miejscu najwyższem siedzi kapłan. Stary to przyjaciel domu Szeligów, ciotki Ofki dawny spowiednik. Błada, ascetyczna twarz jego, rażąco odbija od pełnych i zarumienionych policzków mieszczaństwa; czarna szata wykreśla się plamą ponurą na różnobarwnem tle strojów i klejnotów.

Nieopodal od księdza zasiadła para, zaręczyć się

mająca. Basia w perłach na głowie i na szyi, w powłóczystej sukni z aksamitu modrego, na której błyszczą wielkie, prawdziwym srebrem wyszywane lilie, podobniejsza jest niż kiedykolwiek do anioła z malowanych gotyckiej świątyni okien. Wbrew zwyczajowi, oczów swych ogromnych rzęsami nie nakrywa, ale trzyma je otwarte, blaskiem napojone i patrzące przed siebie w jakiś obraz daleki a cudny, którego inni nie dostrzegają...

Giana stroi jedwab i aksamit. Barwy: fioletowa i gorąco żółta w ubiorze jego przeważają. Piękny jest, szatańsko piękny, choć dziwna, marmurowa, trupa niemal bladość twarz mu pokrywa. Oczy jego wyrażają zachwyt z przestachem zmieszany. Nadmiar szczęścia trwożyć go się zdaje i przygniatać...

Tuż zaraz siedzi i ciotka Ofka, w młodą parę, jak w tęczę, wpatrzona. Zwykła surowość ustąpiła na dzień dzisiejszy i z twarzy jej i z ubioru. Suknię ma barwy perłowej, czarnymi naszytymi omroczone; na głowie takież czepeczek, wązkim, złotym sznurkiem bramowany.

Dobruchna w innej komnacie, przy stole dla „familiantów,” miejsce dostała, i rządy gospodyni pełni.

Ale o wiele bardziej uderza brak innej, niezbędnej w tem gronie osoby. Wśród biesiadników na próżno upatrujemy stryja narzeczonej: Jana Szeligi. A gdyśmy już nieobecność tę dostrzegli, widoczną staje nam się jedna jeszcze okoliczność: brak zupełny członków magistratury — rajców, ławników, gminnych. Jakże rodzinne święto patrycyusza warszawskiego obyć się bez nich może?

W tej chwili jednak słowa, z którymi się go-

spodarz do sąsiada swego zwraca, fakt ów dziwny tłumacza.

— Kumie Macieju — mówi Balcer, posuwając kosz z fruktami do czerwonego jak piwonii mieszcza-nina — jak myślicie: rychło dziś „porządki” sąd swój ukończę?

— Jużby skończyć powinni — odpowiada zapytany. — Wszakże-ć to tylko *judicium expositum*. Chyba, że akta względem donacyi i innych zapisów działają...

— Niechby choć na samą ceremonię zdążyli!...

Tu wmieszał się do rozmowy kupiec o dużym, orlim nosie i surowym wyrazie twarzy.

— Gdyś szedł tutaj — rzecze — gadano, że się dziś na sądzie wójtowsko-ławniczym nie skończy. Ma być jeszcze *judicium emptum*.

— *Emptum?* — powtarza pierwszy. — Zaszło więc coś nadzwyczajnego!...

Koniec rozmowy w gwarze ogólnym utonął.

Jeżeli jednak braknie towarzyszków stryja Jana, obecni są natomiast kamraci Baldiego. Prawie cała kapela dworska stała się w komplecie. Grajków zwyczajnych nie dopuszczono do kompanii z patrycyuszami; wyjątek zrobiony jest tylko dla Luki i Fabia.

Obaj oni dzielnie potykają się z zasobami mieszczańskiego stołu. Ale gdy gruby cytrysta sprawia zastrasające spustoszenie wśród mięsów i ciasta, chudemu fleciście na ugaszenie okropnego pragnienia wszystkich flasz, dzbanów i gąsiorów zda się za mało. Rzekłbyś, że to wskrzeszona ruina Tyberyuszowego wodociągu, przez którą cały Tyber cieczy wszelakich przepuścić-by można...

Kielichy krążą coraz gęściej, wiwaty następują po wiwatach, policzki stają się podobne różom, a oczy brylantom. Chwilami, to ten to ów z dykteryjką jakąś występuje, zatrzymując na niej przez chwilę uwagę ogólną. Potem, wezbrana fala głosów zagłusza go i znów nad wszystkim hałas panuje niesforny.

— Muszę też opowiedzieć waszmościom zdarzenie jedno, jakie czasu peregrynacyi swej miałem...

Temi słowy sam Balcer Szeliga doprasza się u zgromadzenia chwil paru uwagi. Milkną śmiechy i gwary, a stary kupiec, brodę głaszcząc wachlarzową, prawić poczyną:

— Bawiłem właśnie w onem mieście cudnem, co się zwie Wenecya. Dla nawałności morskich bawiłem nawet dłużej niżelim był zamierzył. Czas mi się już dłużyć zaczął i nieraz mglenie przykre czułem, bo mazurowi, na twardym gruncie urodzonemu, patrzeć ciągle na wodę niezdrowo. Na wiatr pomyślny czekając, błąkiwałem się często nocami nad morzem i w uliczki-m się one, kręte a waziuchne, zapuszczał — ile, że noce wenecyańskie na podziw są piękne, a ja prócz kupców kilku, żadnych-em znajomości tam nie miał. Jednej nocy takiej patrzę, aż na mostku samotnym stoi białogłowa i w wodę rzucić się zabiera... „Jezus! Marya! — krzyknę — co robisz, niewiasto!“ Jedną ręką łap ją za ramię, drugą za suknię — przytrzymałem. Oj! wije-że mi się ono niebożatko w rękę, jak piskorz, i wysłizgnąć się stara — nie puszczam. W gniew wpada, drapać i kasać poczyną — ja nic. Nareszcie krzyczy: „coś za jeden? jakim prawem?“ — „Chrześcianin jestem — odpowiadam — a zaś prawem mojem, prawo Chrystusowe.“ —

„Obcys — mówi znowu — co ci do mnie? Mąż własny mię rzucił, to cóż obcy ratować ma?“ — „Mnie nic do tego; obowiązek spełniam i dość.“ I z mostu ją niosę. Poznała cudzoziemca. „Skądś ty?“ — pyta. — „Z Polski-m, z Warszawy“ — tłumaczę się. — „*Pollacco! Varsavia!*“ — krzyknęła i płacze. Posadziłem ją na ławce jakiejś, utulam — aż ta szalona zrywa się, za pierś mię chwyta, i... „Męża-ś mojego widział?“ — w samo ucho krzyczy. Ledwie ją uspokoił. Ale to początek dopiero. Nabrało biedactwo ono do mnie zaufania. Więc dalej spowiadać się. Mąż ją rzucił w rok po ślubie. Z drugim, jak sam, lotrem, w świat się puścili. Doszła, że do Warszawy...

— Do Warszawy? — powtórzyły przy stole głosy zadziwione.

— Tak rzekła. Dodała jeszcze, że ją mąż z odrobiny mienia, jakie po ojcu wzięła, odarł, i z dzieckiem małym na głód i nędzę rzucił. Wreszcie prosiła, by jej w odszukaniu nędznika pomódz. Powiedziałem: zgoda. Ocaliwszy jejmościankę od śmierci, wypadało ją i od losu obronić. Przyniosła mi na drugi dzień papiery różne, dowody urzędowe, akt ślubny, rysopis męża, wszystko w porządku, jak się patrzy. Dopomogłem niebożęciu ilem mógł. Głównie żał mi było dzieciątka, którem widział w łachmanach, chudziutkie od głodu i jak воск żółte...

Zamyślił się smutno, jakby mu własne słowa cieniem na serce padły.

— I jakież historyi onej żalosnej zakończenie? — spytał z drugiego końca stołu kapłan.

— Jeszcze-ć go dotąd niema — odrzekł Szeliga. — Może da Bóg jednak, że będzie. Papiery, zaraz po

powrocie, w Ratuszu złożyłem. Marszałkowi-m również o nich doniósł. — Niewiasta mówiła, że łotry one na żołd królewski zaciągnąć się mieli...

Opowieść gospodarza chłodu nieco między gości rzuciła. Na twarzach odmalowało się zafrasowanie. Aby je odgonić, nowe dzbany przynieść kazał Szeliga. Wino zwyciężyło „melankolię“ i znów gwarem i śmiechami napelniła się komnata.

Ale w tej chwili kapłan dał znak — i uciszono się.

Przypomniat on, że czas pierścionki mieniać.

Gospodarz skinął w stronę służby, kupiącej się w progu, i zaraz z pośrodku niej wyszedł karzelek, niosąc na złotej tacy dwa sygnety kosztowne. Jednocześnie pokojowców dwóch rozeszło na podłogze miękkie, aksamitne poduszki.

Kapłan podniósł się i nad pierścionkami cichą zmówił modlitwę. Potem oblubieńcom dał znak, aby się zbliżyli. W komnacie cisza się zrobiła, jakby anioł przeleciał. Cisza ta i do dalszych komnat przeszła, niosąc z sobą wszędy milczenie i powagę. Nawet dźwięki oddalonej kapeli umilkły, jakby rozplywając się w powietrzu...

Basia i Giano, miejsca swe opuściwszy, szli właśnie ku poduszkom, gdy w sieniach słyszeć się dał nagle hałas jakiś nieskromny. Widoczne było, że ktoś wtargnąć chce do mieszkania, służba zaś go nie puszcza. Hałas, nagle wybuchnąwszy, umilkł potem na chwilę, do komnaty zaś wbiegł sługa Szeligów i panu swemu szeptać jął coś na ucho...

Namarszczyła się i poczerwieniała twarz starego mieszczanina, zarazem podziw i gniew wyrażając.

Podniósł się on z miejsca i gości przeprosiwszy, wyszedł za sługą do sieni.

Kapłan ceremonię przerwał. Giano odprowadził narzeczoną na miejsce. Wszyscy w milczeniu przykrem na koniec niepożądanego *intermezza* czekali.

Długo bawił gospodarz zdala od biesiadników. Podczas jego nieobecności szmer głuchy komnaty sąsiednie obiegał. Wstawano od stołów, do okien się ciśniono, przez drzwi otwarte głowy ciekawe wychylano...

Wreszcie wrócił.

Namarszczenie z czoła mu nie zeszło; nie czerwony już jednak był, jeno blade.

Krokiem powolnym do niewiast zbliżył się i prosił, aby na chwil parę do komnat swych odeszły. Posłuchały. Żadna nie spytała nawet: dlaczego? Pytania w zwyczaju ówczesnym nie były. Niewiasty mogły dziwić się, gniewać lub ciekawości doświadczać szalonej; żadne z tych uczuć w słowa nie przeszło.

Oddaliły się kornie, cicho, z lekkim szat powłóczystych szelestem...

Gdy zniknęły, stary Szeliga postać chwilę w miejscu, jakby siły zbierając, potem wsparł się rękoma o stół i głosem uroczystym wyrzekł:

— Waszmościów moich najmiłościwszych, panów braci, a kumów proszę, aby, cokolwiek tu się teraz dziać będzie, w milczeniu to, a w neutralności zupełnej przyjęli...

Szmer przeszedł po kompanii — uciął jednak prędko, milczącemu niepokojowi ustępując.

Szeliga obrócił się do służki i rzekł:

— Niech wnijdą.

Wówczas, wśród ciszy głębokiej, którą-by śmiertelną nazwać było można, rozegrał się szereg scen, których dom ten nigdy dotąd świadkiem nie bywał...

Najpierw słyszeć się dał szcęk halabard i liczne, ciężkie kroki, które przed progiem komnaty ucichły. We drzwiach ukazał się sługa miejski, w granatowym, oficjalnym ubiorze, w żupanie pod bekieszą czerwonym, przy szabli, w czapce na głowie, której, wchodząc, nie zdjął.

Wystąpił on na środek krokiem mierzonym, do był z zanadru pergamin i w górę go podniósłszy, trzykrotnie nim potrząsnął. Przy pergaminie wisiały dwie duże pieczęcie. Jedna miała na sobie wyobrażenie syreny uzbrojonej, na nogach nietoperzowych i z nietoperzowymi skrzydłami. Była to pieczęć Magistratu M. S. W. Druga była marszałkowska.

Po tym wstępie człowiek ów głosem doniosłym zawołał:

— W imieniu prześwietnego Starej Warszawy Magistratu! W imieniu szlachetnego i przezacnego Burmistrza, sławetnych kół: Radzieckiego i Ławnickiego, oraz Dwudziestu mężów Gminnych! Z wiadomością i za zgodą Jaśnie Wielmożnego Marszałka Wielkiego Koronnego i z przeproszeniem obecnych tu Ichmościów!

Odetchnął — i mówił dalej:

— Jako okazało się na przyjeźdnego mieszkańca Starej Warszawy, cudzoziemca, Fabio Carapazzi rzeczono, iż tenże Carapazzi, z pogwałceniem praw gościnności, na szkodę miasta i całej Rzeczypospolitej, oddaje się niedozwolonemu i owszem bezecnemu rzemiosłu fałszowania monety — wzywa się przeto

onego cudzoziemca, aby się sam, niechybnie a dobrowolnie, w ręce sprawiedliwości wydał, dla postąpienia z nim wedle prawa naszego miejskiego, a oraz koronnego.

Zatrzymał się i papierem na Fabia wskazując, zawołał:

— Fabio Carapazzi! oto ci mówię: wystąp!

W tej chwili Fabio lisim skokiem znalazł się przy oknie i pchnął je tak mocno, że szyby z brzękiem wypadły.

Mówca odwrócił się za siebie z komendą:

— Imać!

Pachołków kilku rzuciło się na grajka. Po krótkim szamotaniu, obezwładniony został i związany. Wyciągniono go za próg, zgrzytającego zębami i miotającego straszne przekleństwa.

Halabardy ponownie zabrzękły, ciężkie obuwie zastukało i zbrojna kompania dom opuściła.

Po jej odejściu grobowa cisza zaległa komnatę. Nikt nie śmiał się odezwać. Wszyscy stali jak rażeni piorunem, bez oddechu, z niemymi ustami i wzrokiem w ziemię wbitym.

Ale nie wyszło pięciu minut: znów hałas u drzwi, znów brzęk halabard, znów butów kowanych stukanie...

Ten sam człowiek, co wprzód na środek wystąpił, tak samo papier wydobył i takim samym ruchem solennym w powietrzu nim potrząsnął...

I znów rozległa się inwokacja:

— W imieniu prześwietnego Starej Warszawy Magistratu! W imieniu szlachetnego i przezacnego Burmistrza! W imieniu sławetnych kół: Radzieckie-

go i Ławnickiego oraz Dwudziestu Mężów Gminnych!

Dreszcz przeszedł zebranych. Oczyma na całą szerokość otwartemi wzajemnie badać się jeli...

On tymczasem wśród ciszy głębokiej czytał z papieru:

— Jako okazało się na przyjeźdnego Starej Warszawy mieszkańca, cudzoziemca, Paolo Rufiani rzeczzonego — który to Paolo Rufiani przezwiska Giano Baldi fałszywie zażywa — iż on małżonkę swą ślubną w mieście Wenecyi porzuciwszy i owszem okradłszy, dom szlachetnego i przezacnego mieszcza-nina i kupca warszawskiego, przez zbrodnię dwu-żeństwa sromotą chciał okryć — wzywa się przeto onego cudzoziemca, aby się sam, niechybnie a dobro-wolnie, w ręce sprawiedliwości wydał, dla postąpie-nia z nim wedle prawa naszego miejskiego a oraz koronnego.

Papier przed się wytknął i zawołał:

— Paolo Rufiani! oto ci mówię: wystąp!

Wszystkie oczy obróciły się na Giana.

Stał on w miejscu jak trup błydy, ale wypro-stowany i wyzywający. Na ustach miał uśmiech szydery.

Sluga miejski dwukrotnie jeszcze wezwanie po-wtórzył. Młodzieniec nie ruszał się z miejsca. Wów-czas rozległa się komenda:

— Imać!

Chłopy uzbrojone wtargnęły do środka. Ale zanim jeszcze ręka któregośkolwiek zdążyła dotknąć młodzieńca, runął on nagle na ziemię, jak kosą pod-cięty.

Na lewej piersi upadającego błyszczała niewiel-ka głowica sztyleta.

Pachołkowie stanęli w miejscu, przerażeniem zdjęci.

Ani jeden z obecnych nie ruszył rannemu z po-mocą.

— Imać! — rozległo się powtórnie.

Nowych kilku wpadło. Ciężkie, grube łapy dźwignęły pięknego włocho w górę. Gdy go wy-noszono, głowa w tył opadła, oczy bielmem zasły, a z ust, wraz z ostatniem westchnieniem, wybiegło jedno tylko słowo — nie wiadomo, polskie, czy włoskie:

— *Bàrbara!*...

Płomień lampy, w zielonem szkle uwięziony, martwo oświeślał dziewczącą komnatę.

Basia z rozpuszczonemi włosami, tak biała jak-by ją z alabastru wykuto, tak powiewna jakby skrzy-dła serafowe u ramion jej drżały, modliła się, czy też rozmyślała tylko, wsparta bezsilnie na klęczniku...

Głucha cisza panowała dokoła.

Przerwał ją kapłan, długą naukę kończąc sło-wami:

— Dopieroś wychyliła się na świat, dziecię moje. Pierwsza burza złamać cię nie mogła. A jeśli z drzewa twojej szczęśliwości kwiatów kilka opadło, nie trwóż się: inne na to miejsce wyrosną. Jeszcze życie długie przed tobą; jeszcze i pociechę w niem znajdziesz...

Basia podniosła na mówiącego swe wielkie bla-watkowe oczy.

— Już znalazłam — głosem spokojnym rzekła,
I dłoń białą na książce oparła.
Książka miała tytuł: *De imitatione Christi*.

D o p i s e k.

W rok później odbyły się dwa śluby.

U Świętego Jana, przed ołtarzem Trzech Króli, jejmościanka panna Dobra Kalinowska poślubiła imci-pana Boleśława Szczerba, jazdy lekkiej rotmistrza.

W klasztorze zaś panien Bernardynek, za Bramą Krakowską, jejmościanka panna Barbara Szeliżanka, suknię zakonną przywdziawszy, poślubiła — Chrystusa.

Przedtem zaś jeszcze, z rąk świątobliwej dziewicy, sumy znaczne dostały się biednym Starej i Nowej Warszawy, wraz z przedmieściami; kościół zaś otrzymał zapis na żalobną wotywę za duszę ś. p. Jerzego Zawisłaka, corocznie w dniu jego śmierci odprawiać się mającą.

K O N I E C.

